

## KSIEGA V

(1732—1736). Było to, zdaje się, w r. 1733, kiedy przybyłem do Chambéri i zacząłem urzędować w katastrze, w służbie królewskiej. Liczyłem lat przeszło dwadzieścia, blisko dwadzieścia jeden. Umysł miałem, na swój wiek, dość ukształcony, ale rozsądek i znajomość życia nie szły z nim w parze; toteż bardzo potrzebowałem ręki, któraby mną pokierowała. Kilka lat doświadczeń nie mogło mnie doszczętnie uleczyć z romantycznych chimer i, mimo wszystkich niedoli jakie wycierpiałem, miałem o świecie i o ludziach tak słabe wyobrażenie, jakgdybym nie opłacił drogo tej nauki.

Mieszkałem w domu, to znaczy u mamusi, ale nie odnalazłem dawnego pokoju z Annecy. Przepadły ogrody, strumienie, krajobrazy! Dom, który zajmowała, był smutny i ponury, a mój pokój najbardziej z całego domu. Mur zamiast horyzontu, zaulek miast ulicy, mało powietrza, mało światła, mało przestrzeni, świerszcze, szczury, zgniłe deski, wszystko to nie składało się na zbyt powabne mieszkanie. Ale byłem u niej, przy niej; bezustanku przy mojem biurku albo w jej pokoju, niewiele zwracałem uwagi na szpetotę mieszkania; nie miałem czasu zajmować się tem w swych marzeniach. Wyda się dziwne, że mamusia przeniosła się do Chambéri umyślnie aby zamieszkać w tym brzydkim domu: to właśnie był z jej strony rys zręczności, którego nie powinienem zamilczeć. Jechała do Turynu z niechęcią, czując, że, po tak świeżych przewrotach, wśród zamętu na dworze, chwila nie jest zbyt sposobna aby się pokazywać. Interesy wszelako wymagały tego: lękała się, iż mo-

że się stać ofiarą zapomnienia lub intrygi. Wiedziała zwłaszcza, że hrabia de Saint-Laurent, generalny intendent finansów, nie jest jej przychylny. Miał on w Chambéri stary dom, licho zbudowany i w tak nieładnem położeniu, że zawsze stał pustką: najęła go i zamieszkała. To poskutkowało lepiej niż cała podróż: nie skasowano pensji, a hrabia de Saint-Laurent był odtąd zawsze jej życzliwy.

Zastąpiłem skład gospodarstwa mniej więcej ten sam co poprzednio, i wiernego Klaudjusza Anet zawsze przy jej boku. Był to, zdaje mi się już wspominałem, wieśniak z Moutru, który, w dzieciństwie, zbierał zioła w górach Jura, aby z nich sporządzać szwajcarską herbatę. Pani de Warens przyjęła go właśnie z przyczyny tych ziół, uważając, iż wygodnie będzie mieć pod ręką lokaja herborystę. Stopniowo, on tak się zapałił do studjowania roślin, ona zaś tak skutecznie podsycala to zamiłowanie, że stał się prawdziwym botanikiem i gdyby nie umarł młodo, zdobyłby zaszczytne imię w tej nauce, tak jak zasłużył sobie na nie wśród uczciwych ludzi. Ponieważ był to człowiek poważny, nawet surowy, a ja byłem od niego młodszy, stał się dla mnie jakgdyby opiekunem, co mnie uchroniło od wielu szaleństw; miałem przed nim respekt i nie byłbym śmiały mu uchybić. Imponował nawet swojej pani, która знаła jego wielki rozsądek, jego prawość, niezłomne przywiązanie, odpłacane szczerą wzajemnością. Klaudjusz Anet był to niecodzienny człowiek; jedyny nawet, jakiego znalazłem tego typu. Powolny, stateczny, rozważny, oględny w postępowaniu, chłodny w obojętności, mało mówny i zwięzły w odezvaniach, odznaczał się w uczuciach swoich gwałtownością, która nigdy nie wydobywała się na wierzch, ale trawiła go wewnątrz. Gwałtowność ta przyprawiła go w życiu o szaleństwo jedno, ale straszliwe, mianowicie popchnęła go do zażycia trucizny. Tragiczna scena zaszła niedługo po mem przybyciu: trzeba było aż tego, aby mnie uświadomić co do rodzaju stosunków, jakie łączyły Klaudjusza z jego panią: gdyby mi sama tego nie powiedziała, nigdybym się nie domyślił. Z pewnością, jeżeli przywiązanie, gorliwość i wierność mogą wysłużyć sobie podobną

nagrodę, należała mu się; a że był jej godny, dowiódł tem, że nigdy nie nadużył tego faworu. Rzadko zachodziły między nimi sprzeczki i zawsze kończyły się dobrze. Zdarzyła się wszakże jedna, która obróciła się źle; pani de Warens rzuciła mu w gniewie zelżywe słowo, którego nie mógł strawić. Usłuchał jedynie głosu rozpaczony, znalazłszy pod ręką flaszeczkę laudanum, połknął jej zawartość, poczem ułożył się spokojnie do spoczynku, jak mniemał wiecznego. Szczęściem, pani de Warens, niespokojna i sama wzburzona, błędząc po domu spostrzegła pusty flakon i domyśliła się reszty. Spiesząc na pomoc, wydała krzyk, który mnie ściągnął na miejsce wypadku. Wznała mi wszystko, wezwała mej pomocy i doprowadziła Aneta z wielkim trudem do tego, że zwymiotował opjum. Będąc świadkiem tej sceny, podziwiałem mą głupotę, iż nigdy nie powziąłem najmniejszego podejrzenia co do tego stosunku. Ale Klaudjusz był tak dyskretny, że i ktoś przenikliwszy odemnie mógłby się nie spostrzec. Pojednanie było takie, iż sam uczulem się wzruszony; od tego czasu, pomnażając w dwójnasób mój szacunek, stałem się jakby wychowankiem Klaudjusza, co mi wyszło jedynie na dobre.

Nie bez przykrości wszelako było dla mnie dowiedzieć się, że istnieje ktoś, kto żyje z mamusią bliżej odemnie. Nie przeszło mi nigdy nawet przez myśl pożądać dla siebie tego miejsca, ale ciężko mi było wiedzieć, że zajmuje je kto inny; to bardzo naturalne. Mimo to, miast nienawiści do tego kto mi ją zabrał, uczulem, zupełnie szczerze, że przywiązanie, które miałem dla mamusi, rozciąga się na niego. Pragnąłem przede wszystkim, by ona była szczęśliwą; a skoro do jej szczęścia potrzebny był jego współdział, cieszyłem się że i on jest szczęśliwy. On, ze swej strony, wszedł najzupełniej w intencje swej pani i pokochał serdeczną przyjaźnią przyjaciela, którego ona wybrała. Nie przybierając ze mną tonu, na który pozwalałoby mu stanowisko, nie szukał w naszym stosunku innych przewag, prócz tych, jakie rozsądek jego dawał mu nad moim. Nie śmiałem uczynić nic, co onby potępiał, on zaś potępiał jedynie to,

co było w istocie złe. Żyliśmy, w ten sposób, w najserdeczniejszej spójni, która dawała szczęście wszystkim trojgu i którą chyba śmierć mogła zniweczyć. Jednym z dowodów zalet charakteru tej uroczej kobiety jest to, iż wszyscy, którzy ją kochali, kochali się między sobą. Zazdrość, współzawodnictwo nawet, ustępowało przeważającemu uczuciu które ona budziła, i nigdy nie widziałem, aby ktokolwiek z tych co ją otaczali, odnosił się z nieprzyjaźnią do drugiego. Niechaj czytelnik przerwie na chwilę czytanie przy tej pochwale, i jeśli, zastanowiwszy się, znajdzie w myśli drugą kobietę, o której mógłby powiedzieć to samo, niech złoży w jej ręce spokój swego życia, choćby to była zresztą najostatniejsza z ladacznic.

Tutaj, od mego przybycia do Chambéri aż do wyjazdu do Paryża w r. 1741, następuje okres ośmiu lub dziewięciu lat, w ciągu których mało mam do opowiedzenia. Życia moje płynęło równie spokojnie jak słodko; i ta właśnie jednostajność była bardzo potrzebna, aby dokończyć kształtowania charakteru, który, wśród ustawicznego rozprószenia, nie miał sposobności się ustalić. Podczas tego błogosławionego czasu, wykształcenie moje, dotąd bezładne i nieporządne, nabrawszy większej konsystencji, uczyniło mnie tem, czem nie przestałem już być wśród burz które mnie czekały. Postęp ten, odbywający się powoli i nieznacznie, nie obfitował w jakieś pamiętne wypadki; zasługuje wszelako, by go tu nakreślić i rozwinąć.

Z początku, zajęty byłem jedynie pracą; przymus biurowy nie pozwalał myśleć o czem innem. Trochę swobodnych chwil, które mi pozostawały, spędzałem przy drogiej mamusi. Nie miałem czasu nawet na czytanie; zresztą nie było mi to w głowie. Ale kiedy, później, otrzaskawszy się z zajęciem, mniej byłem niem pochłonięty, dawne niepokoje ogarnęły mnie na nowo; czytanie stało mi się konieczne; że zaś upodobanie to zawsze podniecała trudność jego zaspokojenia, byłoby się pewnie stało namiętnością, jak niegdyś za czasów terminu, gdyby nie odciągnęły mnie inne, nowe zamięłowania.



Jakkolwiek prace nasze nie wymagały zbyt wysokiej matematyki, i to wystarczyło aby mnie nieraz wprawić w kłopot. Chcąc zwyciężyć te trudności, zakupiłem książki z zakresu arytmetyki i nauczyłem się jej dobrze, ile że uczyłem się sam. Arytmetyka praktyczna, jeśli się chce ją stosować z drobiazgową ścisłością, sięga dalej, niżby się zdawało. Istnieją długie i zawile operacje, w których, jak sam widziałem, tęgiemu geometrze nieraz się zdarzy zgubić. Refleksja połączona z wprawą rozjaśnia pojęcia: wówczas wynajduje się metody skrócone, których pomysłowość głaszcze miłość własną, trafność zadowala umysł i które pozwalają znaleźć przyjemność w niewdzięcznej samej przez się pracy. Zagłębiłem się w tem tak skutecznie, iż, niebawem, nie było kwestji dającej się rozwiązać przez same cyfry, któraby mnie sprawiała trudność; i teraz, kiedy wszystko co niegdyś umiałem zaciera się z każdym dniem w mej pamięci, ta zdobycz przechowała się w niej, po trzydziestoletniej przerwie, bodaj w części. Właśnie przed kilku dniami, w czasie wycieczki do Davenport, będąc obecny przy lekcji dzieci mego gospodarza, rozwiązałem bez błędu, z niewypowiedzianą przyjemnością, jakieś bardzo skomplikowane zadanie. Kreśląc cyfry na papierze, miałem uczucie, że jestem w Chambéri za mych szczęśliwych dni.

Praca nad kolorowaniem map wróciła mi pasję do rysunku. Kupiłem farby i zacząłem malować kwiaty i krajobrazy. Szkoda w istocie, iż tak mało objawiłem talentu do tej sztuki, bo zamiłowania mi nie brakło. Wśród pędzli i ołówków byłbym zdolny przepędzić całe miesiące, nie ruszając się z domu. Zajęcie to zaczęło mnie pochłaniać do tego stopnia, że, w końcu, trzeba mnie było od niego oderwać. Tak się dzieje z każdym upodobaniem które mnie ogarnie: potęguje się, staje się namiętnością; niebawem, przestaje widzieć cokolwiek na świecie poza zabawą która mnie w danej chwili zaprzęta. Wiek nie uleczył mnie z tego narowu, nie złągodził go nawet; w chwili gdy to piszę, zacierzwilem się oto, jak stary manjak, w innej bezużytecznej nauce, o której nie mam żad-

nego pojęcia <sup>1)</sup> i którą nawet ci, co ją uprawiali w młodości, zmuszeni są rzucić w wieku gdy ją chcę zaczynać.

Wówczas, byłaby ona na swoim miejscu. Sposobność była dobra i miałem nawet pokusę z niej skorzystać. Zadowolenie, jakie widziałem w oczach Aneta, gdy wracał obładowany pękami świeżych roślin, skłoniło mnie, iż, parę razy, miałem się z nim wybrać na ziola. Jestem prawie pewny, że, gdybym poszedł choć raz, byłoby mnie to wciągnęło. Byłbym dziś może wielkim botanikiem; nie znam bowiem studjum, któreby się lepiej łączyło z memi wrodzonymi upodobaniami. Życie, jakie pędzę od dziesięciu lat na wsi, jest jedynie nieustanną herboryzacją, co prawda bez celu i planu. Ale, nie mając wówczas pojęcia o botanice, czułem dla niej niejaką wzdargę, nawet wstręt; uważałem ją jedynie za studjum aptekarskie. Mamusia, lubiąc tę naukę, nie posuwała jej istotnie poza ten cel; chodziło jej o ziola, któreby mogła zużytkować dla swoich kordjalów. Tak tedy, botanika, chemja i anatomja, zespolone w mym umyśle pod nazwą medycyny, służyły mi jedynie jako temat do ucieśnych sarkazmów, które, powtarzane przez cały dzień, ścigały na mnie, od czasu do czasu, policzki, wymierzone kochaną rączką. Zresztą, nowe zamiłowanie, nazbyt przeciwne temu, wzrastało we mnie stopniowo i niebawem pochłonęło wszystkie inne. Mówię o muzyce. Muszę być chyba stanowczo zrodzony do tej sztuki, skoro zacząłem ją kochać od dzieciństwa, i ją jedną kochałem jednak w każdej epoce życia. Zdziwiająca jest, iż sztuka, do której byłem zrodzony, kosztowała mnie tyle trudu, i to przy postępie tak powolnym, że, po ćwiczeniu całego życia, nigdy nie mogłem dojść do tego, aby wszystko pewnie wyśpiewać *a vista*. Ale największego wdzięku przydawało wówczas tej nauce to, iż mogłem uprawiać ją z mamusią. Przy zupełnej rozbieżności innych upodobań, muzyka była dla nas punktem stycznym, z którego lubilem korzystać. Mamusia chętnie poddawała się mym życzeniom; byliśmy oboje wów-

<sup>1)</sup> Botanika.

czas mniej więcej równie biegli; odcyfrowywaliśmy razem melodię na dwa lub trzy zawody. Czasem, widząc ją krzątającą się z zapalem koło jakiegoś tygla, mówiłem: „Mamusi, oto cudowny duecik, który z pewnością doda smaku twym kordjalom. — Poczekaj, odpowiadała, jeśli spalę przez ciebie, będziesz musiał wszystko zjeść“. Tak przekomarzając się, pociągałem ją do klawikordu; zasiadywaliśmy się przy nim: ekstrakt jałowcu albo piołunu wysuszał się na popiół; mamusia mazała mi nim twarz; wszystko to było bardzo rozkoszne.

Widać z tego, że, przy niewielkiej ilości wolnego czasu, miałem mnóstwo sposobów zapelnienia go. Niebawem, przybyła mi jeszcze jedna rozrywka, która dodała uroku wszystkim innym.

Mieszkaliśmy w tak ponurej i zacieśnionej norze, że czasem odczuwało się potrzebę świeżego powietrza. Anet namówił mamusię, aby wynając na przedmieściu ogród i uprawiać go. Do tego ogrodu należał domek, który mamusia kazała umeblować potrosze: wstawiono doń łóżko. Często wybieraliśmy się tam z obiadem, czasem nawet sypiałem tam. Nieznacznie, rozkochałem się w mem schronieniu; przeniosłem tam sobie nieco książek, dużo sztychów; spędzałem godziny całe zdobiąc domek i gotując jakąś miłą niespodziankę dla mamusi, gdy się tu wybierze spacerem. Rozstawałem się z nią, aby się jej tam poświęcić, aby myśleć o niej bardzo rozkosznie: dziwactwo, którego nie tłumaczę, ani nie objaśniam, ale przyznaję się do niego, bo tak było. Przypominam sobie, iż raz, księżna de Luxembourg opowiadała z przekąsem o człowieku, który rozstawał się z kochanką, aby móc do niej pisać. Odparłem, że łatwo mógłbym być tym człowiekiem; mogłem dodać, że bywałem nim niekiedy. Nigdy wszelako nie uczuwałem przy mamusi owej potrzeby oddalenia się od niej, aby ją lepiej kochać. We dwoje z nią, czułem się tak samo swobodny jakgdybym był sam, co mi się nigdy nie zdarzyło z żadną inną osobą, mężczyzną ani kobietą, choćbym najbardziej był do niej przywiązany. Ale często mamusia była otoczona, i to ludźmi, którzy mnie tak niecierpliwili, że złość

i nuda wypędzały mnie do mego schronienia, gdzie miałem ją tak jak pragnąłem, bez obawy iż jaki natręt może nas zaskoczyć.

Gdy tak, pochłonięty naprzemian pracą, zabawą i nauką, żywałem błogiego wywczasu, Europa nie cieszyła się równym spokojem. Francja i cesarz wypowiedzieli sobie wojnę: król Sardynji wniósł się do zwady, i armja francuzka pomykała przez Piemont, aby wkroczyć do Medjolanu. Jeden korpus przeciągał przez Cham-béri; między innymi pułk szampański, którego pułkownikiem był książę de la Trimouille. Zostałem mu przedstawiony, przyrzekł mi wiele pięknych rzeczy, poczem z pewnością w życiu więcej nie pomyślał o mnie. Nasz ogródek był właśnie na skraju przedmieścia przez które wchodziły wojska: mogłem tedy do syta napatrzeć się ich przemarszowi. Przejmowałem się wynikiem wojny tak, jakgdyby istotnie miał dla mnie jakieś znaczenie. Dotąd, nigdy nie przyszło mi na myśl zastanawiać się nad sprawami publicznymi: pierwszy raz zacząłem czytać gazety, ale tak stronniczo na korzyść Francji, że serce biło mi z radości na jej najmniejsze przewagi, a klęski jej martwiły mnie tak, jakby dotyczyły mnie osobiście. Gdyby szaleństwo to było jedynie przelotne, nie wartoby o niem wspominać; ale wkorzeniło się ono w moje serce bez najmniejszej przyczyny tak głęboko, że, kiedy później w Paryżu występowałem jako wróg despotów i hardy republikanin, czułem, naprzekór sobie, tajemną predylekcję dla tegoż samego narodu którego służalczość potępiałem, i dla tego rządu, przeciw któremu nibyto walczyłem. Zabawne jest, iż, wstydząc się skłonności tak przeciwnej mym maksymom, nie śmiałem przyznać się do niej przed nikim, i sztydziłem z Francuzów w dni ich klęsk, gdy serce krwawiło mi się bardziej niż im samym. Jestem pewno jedynym człowiekiem, który, żyjąc wśród narodu okazującego mu przychylność i ubóstwiając go w duchu, przybierał względem tegoż narodu, fałszywe pozory wzgardy. Słowem, skłonność ta okazała się we mnie tak bezinteresowną, tak silną, tak stałą, tak niezwykłą, że nawet kiedy opuściłem Francję, odkąd rząd, urzędnicy, pisarze jęli się prześcigać w znęcaniu się

nademną, odkąd zaczęło należeć do dobrego tonu ściganie mnie zniewagami i potwarzą, nie mogłem się wyleczyć z mego szaleństwa. Kocham Francję naprzekór samemu sobie, mimo że tak lichy mi to odplaca.

Długo szukałem przyczyny tej skłonności; nie mogłem znaleźć wytłumaczenia gdzieindziej, jak tylko w okolicznościach, które ją zrodziły. Wzmagające się zamięłowania literackie przywiązywały mnie do francuskich książek, do autorów i do ich ojczyzny. W chwili, gdy przed memi oczami przeciągała armja francuska, czytałem *Wielkich rycerzy* Brantoma. Miałem głowę pełną Klissonów, Bayardów, Lautreków, Colignych, Montmorencyh, Trimouillów, i lgnąłem do ich potomków, jako do spadkobierców ich zasług i męstwa. Za każdym pulkiem, który ciągnął przez miasto, zdawało mi się, że widzę owe sławne *czarne bandy*, które niegdyś tyle dokonały w Piemoncie. Słowem, do tego co widziałem, przykladałem pojęcia znalezione w książkach; nieustanne lektury, wciąż czerpane z tego samego narodu, podsycaly moje dlań przywiązanie, zmieniając je wreszcie w ślepa namiętność, której nic nie mogło zwyciężyć. W podróżach swoich miałem sposobność zauważyć, że nie ja jeden ulegam tego rodzaju wpływom i że, działając mniej albo więcej we wszystkich krajach na część narodu najoświecieńszą, zamięłowaną w książkach i oddającą się naukom, Francja równowazyła tem niejako powszechną niechęć, jaką budzą aroganckie pozory Francuzów. Romanse ich, bardziej niż mężczyźni, podbijają dla nich serca kobiet wszystkich krajów: arcydzieła dramatyczne rozpalają umysły młodzieży. Sława teatrów paryskich ściąga tłumy cudzoziemców, którzy wracają przejęci zachwytem. Wreszcie, doskonały smak ich literatury jedna im wszystkie wykwintniejsze umysły; sam patrzałem na to, jak, w czasie nieszczęśliwej wojny którą świeżo przebyli, autorowie ich i filozofowie podtrzymywali nadwątloną przez najeźdźników chwałę francuskiego imienia.

Byłem tedy zazartym Francuzem, i to zrobiło mnie chciwym nowin. Chodziłem, z tłumem gapiów, oczekiwać na placu przyby-



cia gońców: głupszy niż osiel w bajce, niepokoiłem się bardzo tem, jakiego pana będę miał zaszczyt dźwigać; twierdzono wówczas bowiem, że będziemy należeć do Francji i wymieniano Piemont za Medjolan. Trzeba przyznać, iż miałem niejaki przyczyny obawy; gdyby ta wojna źle się obróciła dla sprzymierzonych, pensji mamusi groziło wielkie niebezpieczeństwo. Ale byłem pełen ufności w mych dobrych przyjaciół; jak na ten raz, mimo niespodzianki ze strony pana de Broglie, zaufanie to nie zawiodło mnie, a to dzięki królowi Sardynji, na którego wcale nie liczyłem.

Gdy toczono boje we Włoszech, śpiewano we Francji. Opery Rameau zaczęły robić hałas i dobyły z ukrycia jego teoretyczne dzieła, dostępne, wskutek swej zawilóści, jedynie niewielu. Przypadkiem, zasłyszałem coś o jego *Wykładzie harmonji* i nie miałem spokoju, póki nie nabyłem tej książki. Zrządzeniem nowego trafu, rozchorowałem się. Choroba była natury zapalnej; gwałtowna i krótka; ale rekonwalescencja trwała długo: miesiąc nie wolno mi było wychodzić. Przez ten czas, obrobiłem z grubsza, połknąłem *Wykład harmonji*; ale był on tak rozwlekły, niejasny, źle ułożony, że czułem, iż trzebaby długiego czasu, by go przestudjować i rozwikłać. Dla wytechnienia, zabrałem się do żywej muzyki. Kantaty Berniera, na których się ćwiczyłem, nie wychodziły mi z głowy. Nauczyłem się kilku z nich na pamięć, między innymi jednej, *Śpiące amorki*, którą, mimo iż nie miałem jej w rękach od tego czasu, umiem dotąd prawie całą, tak samo jak *Amorka ukąszonego przez pszczolę*, bardzo ładną kantatę Clédambaulta, której nauczyłem się mniej więcej w tym samym czasie.

Aby mi do reszty zawrócić głowę, przybył wówczas z Val-d'Aost młody organista, ksiądz Palais, dobry muzyk, dobry człowiek i bardzo biegle akompanjujący na klawikordzie. Zaznajomiłem się z nim; staliśmy się nierozłączną parą. Był uczniem pewnego włoskiego mnicha, wielkiego organisty. Zapoznał mnie z jego zasadami: porównywałem je z książką Rameau; ładowałem sobie głowę akompanjamentem, akordami, harmonją. Trzeba było kształ-

cić ucho aby strawić to wszystko. Podsunałem mamusi myśl małego koncertu raz na miesiąc: przystała. I oto już głowę mam tak nabitą tym koncertem, że, w dzień ni w noc, nie zajmuję się niczem innym. W istocie, dawało mi to niemało zajęcia: zgromadzić nuty, koncertantów, instrumenty, rozpisać partje itd. Mamusia śpiewała; ojciec Caton, o którym wspominałem i wspomnę jeszcze, śpiewał także; nauczyciel tańca nazwiskiem Roche i jego syn grali na skrzypcach; Canavas, piemontczyk, który pracował w katastrze i później ożenił się w Paryżu, grał na wiolonczeli; ksiądz Palais towarzyszył na klawikordzie; ja miałem zaszczyt dyrygować tą orkiestrą. Można sobie wyobrazić jakie to wszystko było piękne! nie całkiem tak jak u pana de Treytorens, ale mało do tego brakowało.

Koncertcik pani de Warens, świeżo nawróconej i żyjącej, jak mówiono, z jałmużny królewskiej, budził szemranie w klice dewotów; ale zarazem stał się miłą rozrywką dla wielu godnych ludzi. Nie zgadłby nikt, kogo, przy tej sposobności, postawię na ich czele: otóż, mnicha, ale zarazem bardzo tęgiego i milego człowieka, którego pamięć, złączona ze wspomnieniem owych pięknych dni, jest mi dziś jeszcze drogą. Mam tu na myśli ojca Caton, Franciszkanina, który, na spółkę z hrabią Dortan, pomógł przejąć nuty biednego mistrza; nie był to, z pewnością, najpiękniejszy czyn w jego życiu. Był to ukończony bakałarz Sorbony: żył długo w Paryżu w największym świecie, a zwłaszcza bardzo serdecznie z margrabią d'Antremont, wówczas ambasadorem Sardynji. O. Caton był to duży mężczyzna, dobrze zbudowany, o pełnej twarzy, wydatnych oczach, czarnych włosach, kręcących się w pukle na skroniach; o szlachetnem, otwartem i skromnem zarazem wejrzeniu. Czulo się w nim odrazu coś prostego i dobrego; ani nie miał typu obłudnego lub bezczelnego mnicha, ani też zbytnej pewności siebie wziętego bywalca (mimo że miał do tego prawo). Był w nim spokój godnego człowieka, który, nie wstydząc się sukni mniszey, świadom jest swej wartości i zna miejsce należne mu w każdym towarzystwie. O. Caton, nie mając może dość nauki na uczonego doktora, miał jej

wszelako dużo na światowego człowieka; nie roztaczając zbyt skwapliwie swego dobytku, umieszczał go tak trafnie i w porę, że pomnażało to jego wartość. Spędziwszy wiele lat w paryskich salonach, większą przywiązywał wagę do miłych talentów niż do poważnej wiedzy. Był dowcipny, składał wiersze, dobrze mówił, jeszcze lepiej śpiewał, miał ładny głos, grał na organach i na klawikordzie. To wystarczało aż nadto, aby go rozrywano w towarzystwach; jakoż i tak było: mimo to, tak pilnie przestrzegał obowiązków swego stanu, iż z czasem, naprzekór zawistnym, wybrano go definitywem, co stanowi jedno z najwyższych odznaczeń zakonu.

Ów ojciec Caton poznał mamusię u margrabiego d'Antremont. Słyszał o naszych koncertach, zapragnął brać w nich udział: tak się też stało, a jego obecność znacznie przyczyniła się do ich blasku. Wkrótce zbliżyliśmy się przez wspólne upodobania muzyczne, które u obu było istną namiętnością; z tą różnicą, że on był naprawdę muzykiem, a ja tylko partaczem. Schodziliśmy się z Canovasem i z księdzem Palais, aby muzykować w jego pokoju, a niekiedy, w dniu świąteczne, przy organach. Często zatrzymywał nas na obiedzie, jako iż — rzecz dość osobliwa jak na mnicha — był gościnny, hojny i lubiący dobre życie, ale z pewnym wykwinem. W dniu koncertów, wszyscy wieczerali u mamusi. Wieczery te były bardzo wesołe, bardzo przyjemne. Rozmowa toczyła się najswobodniej, śpiewało się duety; czułem się jak wniebowzięty; ożywiałem się, sypałem dowcipy; ojciec Caton był przemiły, mamusia czarująca, ksiądz Palais ze swym baranim głosem był uciechą całego zebrania. O słodkie chwile igraszek młodości, ileż to czasu, odkąd uleciałyście bezpowrotnie!

Ponieważ nie będę miał już sposobności mówić o biednym ojcu Caton, niech mi będzie wolno uzupełnić w dwóch słowach jego smutną historję. Inne mnichy, zawistne a raczej wściekle o jego talenty, o jego światowe obycie tak dalekie od mniszego niechlujstwa, znienawidziły go serdecznie. Wpływowe figury sprzysięgły się przeciw niemu, podburzyły czerń klasztorną zazdroszczącą mu

pocichu. Zaczęto mu robić tysiące afrontów, złożono go z urzędu, odebrano mu własny pokój, umeblowany przezeń z prostotą ale z gustem, przeniesiono go nie wiem już gdzie; słowem, nędznicy zwalili nań brzemię takiego prześladowania, że dusza jego, uczciwa i dumna, nie mogła tego udźwignąć. Człowiek, który stanowił ozdobę najwytworniejszych towarzystw, umarł z boleści na nędznym barłogu w głębi jakiejś celi czy więzienia, żalowany, oplakiwany przez wszystkich godnych ludzi którzy go znali i którzy nie widzieli w nim żadnej wady, chyba tę że był mnichem.

Wśród tych miłych igraszek, zwydrzyłem się niebawem do tego stopnia, iż, cały pochłonięty muzyką, niezdolny byłem wogóle myśleć o czem innym. Do biura uczęszczałem ze wstrętem; przymus i jednostajność pracy czyniły mi z niej torturę nie do zniesienia: w końcu przyszło do tego, iż umyśliłem rzucić miejsce, aby się poświęcić wyłącznie muzyce.

Można sobie wyobrazić, iż szalony ten projekt nie przeszedł bez oporu. Rzucać uczciwą i dającą stały dochód pozycję, aby uganiać za niepewnymi lekcjami, był to pomysł zbyt mało roztropny, aby się mógł podobać mamusi. Nawet w przypuszczeniu, iż postępy moje w przyszłości będą tak wielkie jak sobie wyobrażałem, było to bardzo skromnem ograniczeniem ambicji, skazywać się na całe życie na rzemiosło muzyka. Mamusia, która tworzyła projekty tylko na wielką skalę i która nie brała już dosłownie wyroczni pana d'Aubonne, z przykrością patrzyła na to, że zajmuję się tak poważnie sztuką, którą uważała za dość błahą. Powtarzała mi nieraz prowincjonalne przysłowie, może nieco mniej trafne w Paryżu, że *кто добре таńczy i dobrze спієва, нечєх сєє вєлєкєє лєсє не спєдзєвєя*. Widziała, z drugiej strony, iż popęd mój jest nie do zwyciężenia. Namiętność moja do muzyki graniczyła z szalem; można się było słusznie obawiać, iż praca do tego stopnia cierpieć będzie od tej dystrakcji, że ściągnie na mnie wreszcie dymisję, którą lepiej było w takim razie uprzedzić samemu. Przedkładałem jej wreszcie, że obecne me zatrudnienie nie będzie trwało, że trzeba

mi jakiejś umiejętności z którejbym mógł żyć, i że pewniejszą jest rzeczą wykształcić w sobie ćwiczeniem sztukę, do której mam powołanie i którą sama mi wybrała, niż puszczać się na niepewne wody protekcji, albo podejmować nowe próby, mogące się nie powieść, aby wreszcie, zmarnowawszy czas najsposobniejszy do nauki, zostać bez środków. Wkońcu, wymusiłem zezwolenie, więcej naprzykrzaniem się i pieszczotą niż argumentami któreby były zdolne ją zaspokoić. Natychmiast pobiegłem podziękować panu Coccelli, generalnemu dyrektorowi katastru, z taką dumą, jakgdybym dokonał aktu najbardziej heroicznego w świecie. Tak opuściłem dobrowolnie posadę, bez przyczyny, bez racji, bez pozorów, z taką, lub większą radością, z jaką obejmowałem ją przed niespełna dwoma laty.

Krok ten, mimo swego szaleństwa, zyskał mi w okolicy niejaki mir, co mi bardzo wyszło na pożytek. Jedni przypuszczali, że muszę posiadać jakieś środki; drudzy, widząc że rzucam wszystko jedynie dla muzyki, oceniali talent z rozmiarów poświęcenia i uwierzyli, iż, przy takiej namiętności do tej sztuki, muszę nią władać mistrzowsko. W królestwie ślepych, jednooki jest królem; uchodziłem za dobrego nauczyciela, ile że nie było lepszych. Niepozbawiony pewnego gustu w śpiewie, mając zresztą za atuty wiek i powierchowność, zyskałem wkrótce uczenie więcej niżli było trzeba aby zastąpić straconą płacę sekretarza.

To pewna, iż, co się tyczy przyjemności życia, nie można było gwałtowniej przejść z jednej ostateczności w drugą. W katastrze, przykuty przez ośm godzin dziennie do niezajmującej pracy, obok ludzi jeszcze mniej zajmujących, zamknięty w biurze ponurem, zapowietrzonym wyziewami tych gryziopiórków, przeważnie źle wczesanych i bardzo niechlujnych, omdlewałem niekiedy z wyteżenia uwagi, złego powietrza, przymusu i nudy. W miejsce tego wszystkiego, nagle, znalazłem się w eleganckim świecie, goszczony, rozrywany w najlepszych domach; wszędzie uprzejme, radosne przyjęcie, wszędzie wrażenie święta: miłe, pięknie wystrojone pa-



nienki czekają na mnie, witają mnie z zapalem; widzę jeno same uroczne przedmioty, czuję sam zapach róż i pomarańczowego kwiatu: śpiew, rozmowa, śmiechy, zabawy; opuszczam jedno miejsce, by spieszyć na te same gody w drugim. Każdy przyzna, że, zwłaszcza przy równych korzyściach materialnych, nie można wahać się w wyborze. Toteż byłem tak rad z decyzji, że nigdy mi nie przyszło na myśl jej żalować i nie żałuję jej nawet dziś, kiedy ważę postęпки mego życia na szali rozsądku i kiedy dalekie mi są płochę pobudki, które mnie do nich popchnęły.

Oto prawie jedyny raz, iż, słuchając wyłącznie swych skłonności, nie zawiodłem się. Swoboda, serdeczność, łatwość, kordjalna wesołość mieszkańców tych stron sprawiły, iż z przyjemnością obracałem się w świecie; ten okres przekonał mnie, że, jeśli nie lubię żyć z ludźmi, to więcej z ich winy niż z własnej.

Szkoda, iż Sabaudczycy nie są bogaci, a może szkoda byłoby gdyby byli bogaci, tacy bowiem jak są, jest to najlepszy i najmilszy naród jaki znam. Jeżeli istnieje na świecie miasteczko, gdzie można smakować słodczy życia w przyjemnem i pewnem towarzystwie, to Chambéri. Prowincjonalna szlachta, która się tam zbiera, posiada majątku tylko tyle ile trzeba aby żyć, nie dość aby się nadymać; nie mogąc tedy rozwinąć w sobie ambicji, idzie, z konieczności, za radą Cyneasza. Spędziwszy zazwyczaj młodość na służbie wojskowej, wraca spokojnie starzeć się u siebie w domu.

Kobiety są ładne, a mogłyby nawet obejść się i bez urody, mając wszystko co trzeba by dodać ceny wdziękom, a nawet by je zastąpić. Godne jest uwagi, że ja, który, z powołania, widywałem mnóstwo dziewcząt, nie przypominam sobie, bym widział w Chambéri bodaj jedną, któraby nie była czarująca. Powie ktoś, że to zasługa oczu jakimi na nie patrzałem, i może ma słusność; ale nie potrzebowałem wkładać aż tyle dobrej woli. Nie mogę wspomnieć bez miłego wzruszenia mych młodych uczenic. Czemuż nie mogę, wymieniając najbardziej uroczne, wskrzesić ich i siebie w szczęśliwym wieku w którym byłem wówczas, gdyśmy spędzali

razem owe słodkie i niewinne chwile! Pierwsza nazywała się panna de Mellarède, moja sąsiadka, siostra wychowanka księdza Gaime. Była to bardzo żywa brunetka, ale żywość jej, pełna uroku a wolna od roztrzepania, miała w sobie coś dziwnie przymilnego. Była nieco szczupła, jak większość dziewcząt w tym wieku, ale jej błyszczące oczy, gibka kibić, powabna minka nie potrzebowały okrągłości kształtów aby się podobać. Chodziłem tam rano; przyjmowała mnie zazwyczaj w negliżu, z włosami zaplecionymi niedbale, zdobnemi jakimś kwiatem, który wpinało się na moje przyjęcie; a zdejmowało po lekcji, aby się uczesać. Niema dla mnie nic niebezpieczniejszego, niż ładna osoba w negliżu; sto razy mniej obawiałbym się jej w pełnym stroju. Panna de Menthon, u której bywałem popołudniu, była zawsze wystrojona i robiła na mnie wrażenie równie miłe, jakkolwiek odmienne. Włosy miała jasno-popielate: była bardzo drobna, bardzo płochliwa i bardzo biała; głos miała wdzięczny, czysty i miły, ale ledwie ważyła się go dobywać. Miała na piersi bliznę po oparzeniu wrzącą wodą. Znamię to, wychylające się z pod niebieskiej jedwabnej chusteczki, ściągało niekiedy w tę stronę mą uwagę, a niebawem przedmiotem jej stawała się nie sama blizna. Panna de Challes, też moja uczennica, była to dziewczyna dobrze już dorosła; duża, okazała, pulchna, niegdyś bardzo powabna. W owym czasie piękność jej minęła potrosze, ale został wdzięk, pogoda, luba wesolość. Siostra jej, pani de Charly, najpiękniejsza kobieta w Chambéri, nie uczyła się już sama muzyki, ale kształciła w niej córkę, osobę młodziutką jeszcze, której rozwijająca się piękność byłaby z pewnością dorównała kiedyś matce, gdyby, na nieszczęście, nie była trochę ruda. Miałem też u Wizytek młodą panienkę, Francuzkę, której nazwiska zapomniałem, ale która zasługuje na osobne miejsce na liście mych uczenic. Miała jakby ospały i rozwlekły sposobnik mówienia, i tym apatycznym tonem wygłaszała rzeczy bardzo śmiałe, zupełnie nie godzące się z wyglądem. Zresztą, była bardzo leniwa i nie lubiła wysilać dowcipu: była to łaska, której nie każdego uznawała godnym. Dopiero

po jakich dwóch miesiącach nauki, wśród częstych zaniedbywań z mej strony, wpadła na pomysł tej przynęty, by mnie uczynić bardziej punktualnym; nigdy bowiem nie umiałem się nałamać do tej cnoty. Bawiły mnie lekcje, kiedym już siedział przy pulpicie, ale z trudem znosiłem przymus punktualności i niewolę godzin: w każdej rzeczy niewola i przymus są mi tak nieznośne, iż przyprawiłyby mnie o znienawidzenie samej rozkoszy. Powiadają, że u mahometan strażnik obchodzi o świcie ulice, nawoływaniem przypominając mężom, aby oddali powinność żonom. Sądzę, iż byłbym bardzo złym Turkiem o tej godzinie.

Miałem także kilka uczennic w mieszczańskiejsferze, między innymi jedną, która stała się pośrednią przyczyną ważnej odmiany w mem życiu; odmiany, o której chcę mówić, skoro już postanowiłem wszystko powiedzieć. Była to córka korzennika; nazywała się panna Lard. Był to istny model greckiej statuy; rzekłbym najpiękniejsza kobieta jaką w życiu widziałem, gdyby mogła istnieć prawdziwa piękność bez życia i duszy. Jej obojętność, chłód, niewrażliwość dochodziły niebywałych granic. Było równem niepodobieństwem zyskać jej sympatię jak pogniewać ją; jestem przekonany, iż, gdyby ktoś przypuścił do niej dość energiczny szturm, uległaby, nie z ochoty ale głupoty. Matka, nie chcąc widocznie narażać jej na tę próbę, nie odstępowała córki na krok. Każąc ją uczyć śpiewu i to pod kierunkiem młodego nauczyciela, czyniła co mogła by ją obudzić; ale na nic. Podczas gdy nauczyciel krzątał się koło córki, matka krzątała się koło nauczyciela, nie z lepszym powodzeniem. Pani Lard miała zato życia za siebie i za córkę. Była to nieduża kobietka ze sprytną, ruchliwą, nieco ospowatą twarzą. Oczy miała małe, bardzo wymowne i nieco czerwone, ponieważ prawie zawsze ją bolały. Co rano, kiedy się zjawiałem, czekała już na mnie kawa ze śmietanką. Matka witała mnie stale całusem, sumienie wyciśniętym na mej twarzy, który to całus, przez ciekawość, byłbym rad oddał córce, aby się przekonała jakby go przyjęła. Zreższą, wszystko to działa się tak poprostu i tak nie miało znaczenia,

że nieraz, kiedy pan Lard był obecny, całusy i przekomarzania odchodziły tak samo swoim trybem. Było to pocziwe czleczyisko, prawdziwy ojciec swojej córki; nie można powiedzieć aby go żona oszukiwała, ponieważ nie było tego trzeba. Poddawałem się tym karesom z mem zwykłym niezdarstwem, biorąc je poprostu za objawy czystej przyjaźni. Mimo to, dawały mi się one we znaki, bo pani Lard bywała wymagająca: jeśli, w ciągu dnia, zdarzyło mi się minąć jej sklep bez zatrzymania, zaraz był powód do obrazy. Gdy mi się spieszyło, musiałem nakładać drogi i okrażać inną ulicą, wiedząc dobrze, iż łatwiej wejść do tego domu, niż się zeń wydostać.

Pani Lard nadto zajmowała się mną, abym mógł się jej poniekać nie odwzajemniać. Uprzejmość jej rozczulała mnie. Mówilem o tem mamusi jako o rzeczy nie wymagającej tajemnicy: a gdyby nawet była to tajemnica, i tak byłbym jej powiedział, niepodobna mi było cokolwiek jej ukrywać; serce moje otwarte było przed nią jak przed Bogiem. Rzecz nie wydała się jej równie niewinna i prosta jak mnie. Gdzie ja widziałem jedynie przyjaźń, mamusia dostrzegła inne, wyraźniejsze intencje. Osądziła, iż pani Lard, czyniąc sobie punkt honoru z tego aby ze mnie zrobić pełnego mężczynę, w ten albo inny sposób postawi wreszcie na swoim. Pomijając iż nie było sprawiedliwe aby inna kobieta miała dopełnić ukształcenia jej wychowanka, mamusia miała inne, godniejsze siebie motywy, by mnie ustrzec od zasadzek, które mi groziły z racji mego wieku i zawodu. W tym samym czasie, zastawiono mi inną pułapkę, niebezpieczniejszą. Uniknąłem jej wprawdzie, ale przekonała ona mamusię, że, wobec niebezpieczeństw grożących mi co chwilę, należy zastosować wszystkie środki ochronne, jakie miała do rozporządzenia.

Hrabina de Menthon, matka jednej z uczennic, była to osoba dowcipna i sprytna, a, jak mówiono, niemniej złośliwa. Jak fama głosiła, była ona przyczyną wielu nieporozumień, między innymi jednego, które miało fatalne następstwa dla domu d'Antremont.

Mamusia żyła z nią w swoim czasie dość blisko; ale, wzbudziwszy, bardzo mimowoli, żywsze uczucia w kimś, na kogo pani de Menthon miała widoki, stała się w jej oczach winną tej zbrodni, mimo że ani zabiegała o te hołdy, ani ich nie przyjęła. Od tego czasu, pani de Menthon starała się wyplatać swej rywalce wiele dokuczliwości, z których żadna się nie udała. Przytoczę na próbkę jedną z komiczniejszych. Obie panie bawiły na wsi z kilku młodymi paniami z sąsiedztwa, między którymi był i ów nieszczęsny aspirant. Pani de Menthon powiedziała kiedyś jednemu z tych panów, że pani de Warens jest świętoszka, że nie ma smaku, że się źle ubiera i że zasłania sobie piersi jak mieszcza. „To, rzekł ów, który był facecjonistą, ma swoje przyczyny; wiem że ma na piersi znamię w kształcie szczura: poprostu jak żywy, możnaby powiedzieć że biegnie“. Nienawisć, równie jak miłość, czyni łatwowiernym. Pani de Menthon postanowiła skorzystać z odkrycia: pewnego dnia, kiedy mamusia zabawiała się z niewdzięcznym oblubieńcem owej damy, ta zachodzi zręcznie z tyłu swą rywalkę, następnie, przechylając krzesło, odsłania nagłym ruchem chusteczkę; ale, w miejsce dużego szczura, wielbiciel ujrzał jedynie bardzo odmienny przedmiot, który równie mu trudno było zapomnieć jak ujrzeć: rezultat wcale nie po myśli pani de Menthon.

Nie byłem zgoła osobistością zdolną zainteresować panią de Menthon, która lubiła koło siebie jedynie świetne towarzystwo. Mimo to, zwróciła na mnie uwagę, nie dla powierzchowności (tą z pewnością nie przyszło jej na myśl się interesować!) ale dla dowcipu, którego się we mnie dopatrywano, a który pragnęła zużytkować wedle swych celów i skłonności. Pani ta miała dość żywe upodobanie do satyry. Lubiała układać piosenki i wiersze na osoby, które jej były niemiłe. Gdyby była znalazła we mnie dość talentu na to abym jej służył za pomocnika w tej zabawie, bylibyśmy, do spółki, z pewnością przewrócili całe Chambéri do góry nogami. Opinja dotarłaby wkońcu do źródła tych utworów, pani de Men-



thon wykręciłaby się wystawiając mnie na sztych, i byłbym może spędził w więzieniu resztę dni, pokutując za zbytnią usłużność dla dam.

Szczęściem, nie przyszło do tego wszystkiego. Pani de Menthon zatrzymała mnie parę razy na obiedzie aby mnie rozgadać i pociągnąć za język, przyczem stwierdziła, że jestem prostaczek i głuptas. Czulem to sam doskonale i bolałem nad tem, zazdroszcząc talentów przyjacielowi Wenturze, gdy powinienbym błogosławić mą głupotę, dzięki której uratowałem się od takich niebezpieczeństw. Zostałem dla pani de Menthon nauczycielem śpiewu i niczem więcej; ale, w zamian, żyłem spokojny i lubiany w całym Chambéri. To warte było więcej, niż być dowcipnisiem w jej oczach, a żmiją w oczach całej okolicy.

Jakbądź się rzeczy miały, mamusia spostrzegła, iż, aby mnie wyrwać niebezpieczeństwu młodości, czas był pasować mnie na mężczyznę; co też uczyniła, ale w sposób chyba najosobliwszy, w jaki kiedykolwiek kobieta postąpiła sobie w danych okolicznościach. Jednego dnia, zauważyłem, że jest bardzo poważna i że przemawia do mnie uroczyściej niż zwykle. Miejsce wesołej pustoty, którą przeplatała zazwyczaj swe nauki, zajął ton poważny i skupiony; nie surowy wprawdzie, ale jakgdyby wróżący jakieś wyjaśnienie. Siłąc się długi czas odgadnąć przyczynę zmiany, spytałem wreszcie o nią: na to właśnie czekała. Zaproponowała mi na następny dzień wycieczkę do naszego ogródka: wybraliśmy się od rana. Nakierowała okoliczności w ten sposób, abyśmy mogli zostać sami przez cały dzień; dzień ten obróciła na to, aby mnie przygotować do względów któremi mnie chciała obdarzyć; ale nie, jak inne kobiety, zapomocą zalotności, ale zapomocą rozmów pełnych statku i uczucia, mających na celu raczej pouczenie mnie niż uwiedzenie, i bardziej trafiających do serca niż do zmysłów. Wszelako, mimo iż nauki jej były wyborne i użyteczne i zgoła nie traciły pedanterją lub chłodem, nie słuchałem ich z taką uwagą na jaką zasługiwały i nie wyrylem ich w pamięci tak, jakbym to uczynił w in-

nych okolicznościach. Sam początek, jego ton, obudziły we mnie jakiś niepokój: gdy ona mówiła, ja, roztargniony i pomieszany, mniej słuchałem tego co mówiła, niż dociekałem dokąd zmierza. Skoro wreszcie zrozumiałem (co mi nie przyszło łatwo), niespodzianosc tej myśli, która, od czasu jak żyłem obok mamusi, nie postąpiła mi ani razu w głowie, pochłonęła mnie całego, nie pozwalając prawie ogarnąć sensu słów. Myślałem tylko o niej, i nie słuchałem jej.

Starać się skupić uwagę młodych ludzi na to co im się ma do powiedzenia, ukazując im na końcu bardzo dla nich interesujący przedmiot, to nonsens częsty u pedagogów, którego ja sam nawet nie unikałem w *Emilu*. Młody człowiek, uderzony celem który mu ktoś pokazuje, zajmuje się jedynie nim, i skacze równemi nogami przez wstępne wywody, aby pędzić tam, gdzieście go chcieli zawieść zbyt wolno w stosunku do jego pragnień. Pani de Warens, z właściwą jej systematycznością, umyśliła, przez ostrożność (bardzo czczą zresztą), postawić mi warunki; ale, skoro tylko ujrzałem ich cenę, nie słuchałem nawet, zgodziłem się na wszystko. Wątpię, aby, w podobnym wypadku, znalazł się mężczyzna dość szczerzy albo dość odważny aby się targować w takiej chwili, jak również czyby się znalazła kobieta, któraby mu to przebaczyła. Ciągnąc dalej te dziwaczne pertraktacje, mamusia obciążyla nasz układ niezmiernie poważnemi formalnościami i dała mi do namysłu cały tydzień, jakkolwiek zapewniałem ją obłudnie, że mi go nie trzeba. Faktem jest, na domiar tych wszystkich osobliwości, iż wielce byłem rad z odwłoki, tak mnie oszołomiła nowosc tej myśli i tak bardzo potrzebowałem czasu, aby uporządkować nagły przewrót dotychczasowych uczuć i pojęć.

Pomyśli ktoś, że ten tydzień musiał mi się wydać wiekiem. Wręcz przeciwnie: pragnąłem, aby nim w istocie był. Niewiem jak opisać stan, w którym się znajdowałem, pełen dziwnego przerażenia skojarzonego z niecierpliwością, pełen obawy i pragnienia razem. Dochodziło do tego, iż, chwilami, całkiem na dobre szukałem

w głowie jakiegoś przyzwoitego sposobu uniknięcia szczęścia, które mnie czekało. Proszę sobie wyobrazić mój gorący i zmysłowy temperament, mą kipiącą krew, serce pijane miłością, moje siły, zdrowie, młodość. Proszę pomyśleć, że, w tym stanie, dręczony nieustannie pragnieniem kobiety, nie poznałem jeszcze żadnej; że wyobraźnia, potrzeba, ambicja, ciekawość, jednoczyły się, pożerając mnie żądzą osiągnięcia pełnej męskości i złożenia jej dowodów. Proszę dodać zwłaszcza (tego przedewszystkiem nie trzeba zapominać), że moje przywiązanie do mamusi nietylko nie ostygło, ale zwiększało się z każdym dniem; że czułem się dobrze tylko przy niej, a jeśli się od niej oddalałem, to tylko poto aby myśleć o niej; że miałem serce pełne nietylko jej dobroci, jej miłego charakteru, ale jej kobiecości, postaci, osoby, słowem Jej, na każdy sposób w jaki kobieta może być komuś drogą. I proszę sobie nie wyobrażać, iż tych dziesięć czy dwanaście lat różnicy między nami, odgrywało jakąś rolę i postarzało ją w mych oczach. Od pięciu czy sześciu lat, gdy, na jej pierwszy widok, doznałem tak słodkich wzruszeń, zmieniła się w istocie bardzo mało, a w moich oczach wcale. Była zawsze urocza dla mnie, a była nią jeszcze dla wszystkich. Kibić jedynie zaokrągliła się nieco. Pozatem, te same oczy, ta sama pleć, ten sam biust, rysy, te same piękne włosy blond, ta sama wesołość, wszystko, aż do głosu, tego srebrnego młodzieńczego głosu, który zawsze na mnie wywierał takie wrażenie, że dziś jeszcze nie mogę bez wzruszenia usłyszeć świeżego głosu dziewczęcia.

Naturalną tedy obawą, w pewności posiadania osoby tak mi drogiej, byłby lęk, iż nie zdołam doczekać tej chwili i nie zdołam zawładnąć zmysłami i wyobraźnią tak, aby zostać panem samego siebie. Ujrzy czytelnik jak, w swoim czasie, w późnych latach, sama myśl o nieznacznym łaskach które mnie czekały od ukochanej osoby, rozpalala mi krew do tego stopnia, iż niepodobna mi było przebyć bezkarnie kawałka drogi, który dzielił mnie od niej. Jakim sposobem, jakim cudem, teraz, w kwiecie młodości, tak mało kwapiłem się do tej pierwszej słodyczy? Czem działo się, iż zbli-

zającej się godziny oczekiwałem raczej z uczuciem przykrości niż szczęścia? W jaki sposób, miał przedsmaku rozkoszy, który powinien był mnie upajać, czułem niemal obawę i niechęć? Niema wątpliwości, iż, gdybym mógł się umknąć, bez jej obrazu, swemu szczęściu, byłbym to uczynił z całego serca. Przygotowałem czytelnika na niezwykłości w dziejach mego przywiązania do niej; oto jedna, której najmniejby się pewnie spodziewano.

Czytelnik, już zgorszony zapewne, osądzi, iż, należąc do innego mężczyzny, poniżała się w mych oczach tym podziałem, że uczucie pewnej wzgardy studziło inne uczucia; myli się. Podział ten, to prawda, sprawiał mi okrutny ból, tak przez zupełnie naturalną drażliwość, jak i dlatego, że w istocie uważałem go za dość niegodny i jej i mnie; ale, co się tyczy uczuć, nie wpływał na nie zgola. Mogę przysiąc, że nigdy nie kochałem mamusi tkliwiej niż wówczas gdy tak mało pragnąłem ją posiadać. Nadto znałem jej czyste serce i lodowaty temperament, aby przypuszczać na chwilę, iż zmysły mogą odgrywać u niej jakąś rolę w tem oddaniu. Byłem pewny, że jedynie chęć ocalenia mnie od niebezpieczeństw, inaczey prawie nieuchronnych, i zachowania mnie całego dla mnie i dla mych obowiązków, była przyczyną, że sama się godziła naruszyć obowiązek, na który zresztą, jak później będę miał sposobność wykazać, patrzyła odmiennie niż inne kobiety. Litowałem się nad nią i litowałem się nad sobą. Bylbym chciał jej rzec: nie, mamusi, nie trzeba; i bez tego ręczę ci za siebie. Ale nie śmiałem; popierwsze, rzecz nie jest z tych, które się mówi; a powtóre, w głębi, czułem że to nieprawda, i że w istocie tylko kobieta może mnie uchronić od innych kobiet i ustrzec od pokus. Nie pragnąc jej, rad byłem, że mnie uwolni od pragnienia innych; do tego stopnia wydawało mi się nieszczęściem wszystko coby mnie mogło od niej odciągnąć.

Długi nawyk życia razem a jednak niewinnie, miał osłabić moje uczucia, przeciwnie wzmocnił je, ale równocześnie nadał im jakiś inny charakter, który wlewał w nie więcej tkliwości, czułości

może, ale mniej pożądań. Nazywając ją mamusią, przestając z nią na stopie synowskiej poufałości, przywykłem niejako uważać się za syna. Myślę, że to jest prawdziwa przyczyna, iż tak mało pragnąłem ją posiadać, mimo że była mi tak drogą. Przypominam sobie doskonale, że pierwsze me uczucia dla niej, mimo iż nie żywsze, bardziej były zmysłowe. W Annecy byłem upojony; w Chambéry już nie. Kochałem ją zawsze z całym przywiązaniem, ale więcej dla niej a mniej dla siebie, lub przynajmniej więcej szukałem przy niej szczęścia niż rozkoszy: była mi więcej niż siostrą, więcej niż matką, więcej niż przyjaciółką, więcej niż kochanką nawet; a to dlatego właśnie, że nie była kochanką. Słowem, kochałem ją nadto aby jej pożądać: oto może najjaśniejsze ujęcie mych uczuć.

Ów dzień, którego więcej lękałem się niż oczekiwałem, nadszedł wreszcie. Przyrzekłem wszystko i nie skłamałem. Serce ztwardzało me zobowiązania, nie pożądając ich nagrody. Otrzymałem ją wszakże. Znalazłem się pierwszy raz w ramionach kobiety, i kobiety którą ubóstwiałem. Czy byłem szczęśliwy? nie; poznałem rozkosz. Jakiś niezwykłony smutek zatruwał mi jej urok. Miałem uczucie jakgdybym spełnił kazirodztwo. Tuląc ją z uniesieniem w ramionach, skrapiałem równocześnie jej łono łzami. Co do niej, nie była ani smutna ani upojona; była serdeczna i spokojna. Będąc z natury mało zmysłowa i nie szukając rozkoszy, nie odczuła ani jej szalu ani po niej nie cierpiała wyrzutów.

Powtarzam: wszystkie jej zbląkania wynikały z mylnych zasad a nie z namiętności. Była szlachetna z natury, serce jej było czyste, lubiła to co uczciwe, skłonności miała cnotliwe i zacne, smak delikatny; słowem, była stworzona do wykwintu moralnego, za którym zawsze tęskniła a którego nigdy nie zaznała, zamiast bowiem słuchać serca, które ją prowadziło dobrze, słuchała rozumu, który ją prowadził źle. Kiedy fałszywe zasady zagnały ją na manowce, dobre instynkty zawsze stawały im wbrew: ale, na nieszczęście, miała w głowie ćwieka filozofji, i zasady moralne, które sobie zbudowała, zniszczyły te, które dyktowało jej serce.



Pan de Tavel, pierwszy jej kochanek, był jej mistrzem filozofji i wszczepił jej te właśnie poglądy, które mu były potrzebne przy dziele uwodzenia. Widząc ją przywiązaną do męża, do obowiązków, zawsze chłodną, rozumującą i niedostępną zmysłom, przypuścił szturm drogą sofizmatów. Zdolał jej przedstawić obowiązki, do których była przywiązana, jako katechizmowe bajeczki, dobre do tumanienia dzieci; obcowanie płci, jako akt najzupełniej w sobie obojętny; wierność małżeńską, jako konwenans, którego cała moralność ogranicza się do poszanowania opinji; spokój męża jako jedyne prawidło powinności żony; tak iż (wedle niego) dobrze zatajona niewierność, nie istniejąc dla tego kogo dotyka, nie istnieje i dla sumienia. Słowem, wytłumaczył jej, że rzecz sama w sobie jest niczem, że nabiera istnienia dopiero przez wyjście najaw, i że każda kobieta z pozoru cnotliwa, tem samem jest nią w istocie. W ten sposób, nędznik doszedł do celu, pacząc umysł dziecka, którego serca zepsuć nie był w stanie. Został za to ukarany męką najokrutniejszej zazdrości, jaką podsycalo w nim podejrzenie iż ona postępuje względem niego tak samo, jak ją nauczył aby postępowała względem męża. Nie wiem, czy się mylił. Pastor Perret uchodził za jego następcę. Tyle wiem, iż chłodny temperament tej młodej kobiety, który, zdawałoby się, winien ją był ubezpieczyć od tych przewrotnych teoryj, przeciwnie utrwalił ją w nich jeszcze. Nie mogła zrozumieć, aby można było przywiązywać tyle wagi do tego, co dla niej nie miało prawie żadnej. Nigdy nie uczciła mianem cnoty wstrzemięźliwości, która kosztowała ją tak niewiele.

Nie byłaby więc wcale nadużywała tej fałszywej zasady dla siebie samej: ale nadużywała jej dla drugich, a to znów dla innej zasady, prawie tak samo fałszywej, ale zgodniejszej z dobrocią jej serca. Zawsze mniemała, iż nic tak nie przywiązuje mężczyzny do kobiety jak posiadanie. Mimo że nie kochała swych przyjaciół inaczey niż przyjaźnią, przyjaźń ta była tak tkliwa, że używała wszelkich środków jakie miała w swej mocy, aby ich mocniej przywiązać. Co szczególne, to iż prawie zawsze się jej to powiodło. Była

naprawdę tak urocza, że, im bliżej się z nią żyło, tem więcej znajdowało się nowych przyczyn do kochania. Druga rzecz godna uwagi, to że, od pierwszego błędu, przygarniała zawsze jedynie biedaków. Ludzie uposażeni od losu daremnie zabiegali by się o nią; ale człowiek, dla którego uczuła zrazu litość, musiałby być bardzo odpychający aby go wkońcu nie pokochała. To zatem, iż nieraz umieszczala swe łaski w sposób tak mało jej godny, nietylko nie działo się wskutek niskich skłonności, którym nigdy szlachetne jej serce nie było dostępne, ale zawsze jedyną przyczyną był jej charakter zbyt wielkoduszny, ludzki, współczujący, wrażliwy, nad którym nie panowała z dostateczną rozwagą.

Jeśli niektóre fałszywe zasady sprowadziły ją na bezdroża, ileż w zamian zdobyła ją cudownych przymiotów, którym się nigdy nie sprzeniewierzyła! Przez ile rzadkich cnót okupywała swoje słabości, jeśli można tem mianem nazwać błędy, w których zmysły tak mało brały udziału! Ten sam człowiek, który ją tak szpetnie wprowadził w błąd na jednym punkcie, oświecił znamienicie i ozdobił jej umysł co do tysiąca innych. Nie podlegając burzliwym namiętnościom i mogąc, tem samem, iść za wskazówkami rozumu, szła zawsze drogą dobrą, o ile sofizmaty nie sprowadzały jej na manowce. Nawet błędy jej płynęły z chwalebnych pobudek; mogła źle czynić przez zbląkanie, ale nie mogła chcieć niczego coby było złem. Nie znała fałszu, kłamstwa, była sprawiedliwa, wyrozumiała, ludzka, bezinteresowna, wierna swemu słowu, przyjaciółom, obowiązkom, o ile je uznała za takie, niezdolna do zemsty i nienawiści, nie pojmując nawet aby w przebaczeniu mogła tkwić jaka zasługa. Wreszcie (aby wrócić do tego, co najtrudniejsze do usprawiedliwienia), nie ceniąc swoich łask wedle ich wartości, nigdy nie czyniła ich przedmiotem szpetnego handlu; rozdawała je, ale ich nie sprzedawała, mimo że niejednokrotnie cierpiała wprost niedostatek. Śmiem powiedzieć, iż, jeżeli Sokrates mógł cenić Aspazję, byłby z pewnością považał panią de Warens.

Wiem zgóry, że, malując ją jako charakter tkliwy a tempera-

ment chłodny, spotkam się z zarzutami sprzeczności, jak zazwyczaj, i równie mało słusznie. Być może, iż natura popełniła błąd i że to skojarzenie nie powinno było istnieć; wiem tylko, że istniało. Wszyscy ci, którzy znali panią de Warens i których sporo żyje jeszcze, mogli wiedzieć, że tak było. Śmiem nawet dodać, że знаła ona jedną tylko prawdziwą rozkosz, mianowicie dawać ją tym, których kochała. Wolno każdemu rozprawiać i argumentować do woli i dowodzić uczenie że to nieprawda; mojem zadaniem jest mówić prawdę, ale nie zmuszać do wiary.

Wszystkiego, co powiedziałem w tej chwili, dowiedziałem się z rozmów, które mieliśmy ze sobą po naszym zbliżeniu; one to jedynie uczyniły je rozkosznem. Słusznie spodziewała się pani de Warens, że dobroć jej wyjdzie mi na pożytek; skorzystałem z niej w istocie bardzo wiele dla swego rozwoju. Dotąd, mówiła ze mną zawsze tylko o mnie, jak z dzieckiem. Teraz dopiero zaczęła się odnosić do mnie jak do mężczyzny, otwierać mi swoje serce. Wszystko, co mówiła, było dla mnie tak interesujące, poruszało mnie tak głęboko, iż zwierzenia jej o wiele żywiej trafiły mi do duszy niż poprzednie nauki. Kiedy się czuje w istocie że serce mówi, nasze serce otwiera się aby przyjąć jego wylewy; i nigdy żadne moralne nauki pedagoga nie będą warte poufnej i tkliwej gawędy z rozumną i kochaną kobietą.

Bliskość, w jakiej żyliśmy teraz, pozwoliła mamusi wyrobić sobie o mnie korzystniejsze mniemanie. Osądziła że, mimo mej niezaradności, zasługuję na to, aby mnie kształcić, i że, skoro się kiedyś ukazę na teatrze świata w odpowiednim rynsztunku, będę umiał sobie dać radę. Przejęta tą myślą, dokładała starań, nie tylko aby ukształtować wewnątrz, ale także i zewnętrzną formę i uczynić mnie, przez moje zalety, równie godnym sympatji co szacunku. Jeśli prawdą jest, iż można połączyć powodzenie w świecie z cnotą (w co nie wierzę), pewien jestem, że istnieje do tego jedna jedyna droga, to jest ta, którą obrała i na którą chciała mnie skierować. Pani de Warens znała ludzi i posiadała znakomicie sztukę obcowania z ni-

mi bez kłamstwa i bez zbędnej szczerości, nie oszukując ich i nie drażniąc. Ale ta umiejętność tkwiła raczej w charakterze niż w zasadach; umiała lepiej ją stosować niż jej nauczyć, a ja byłem człowiekiem najmniej w świecie zdolnym do skorzystania z tych nauk. Toteż, wszystkie starania w tej mierze poszły niemal na marne, tak samo jak troskliwość, z jaką zaopatrzyła mnie w nauczycieli tańca i fechtunku. Mimo że byłem lekki i zgrabnej postawy, nie byłem w stanie nauczyć się kroku menueta. Cierpiałem na odciski, wskutek czego tak nawykłem chodzić na obcasach, że mój pedagog nie mógł mnie od tego oduczyć, i nigdy, mimo dość zwinnego wyglądu, nie byłem zdolny przeskoczyć najmniejszego rowu. Jeszcze gorzej z fechtunkiem. Po trzech miesiącach, machałem floretem jak cepami, nie umiając wykonać prawidłowego ataku, i nigdy nie osiągnąłem takiej giętkości przegubu ani siły ramienia, aby utrzymać floret, kiedy mistrzowi memu spodobało się wyważyć mi go z ręki. Dodajcie jeszcze, że miałem śmiertelną odrazę do tego ćwiczenia i do nauczyciela który usiłował mnie z niem obznajmić. Nigdybym nie uwierzył, że można tak się czuć dumnym ze sztuki zabicia człowieka. Aby swój genjusz zastosować do mego poziomu, wyrażał się tylko porównaniami czerpanemi z muzyki, o której nie miał pojęcia. Znajdował uderzające analogje między *tercją* i *kwartą* w fechtunku, a interwałami muzycznemi tej samej nazwy. Kiedy chciał zrobić fintę, ostrzegał mnie abym uważał na *krzyżyk*, dawniej bowiem krzyżyki nazywały się *fintami*; kiedy mi wytrącał floret, mówił, śmiejąc się rubasznie, że to *pauza*. Słowem, w życiu nie widziałem nieznośniejszego pedanta niż ten czelczyzna, dumny ze swej kitki i plastronu.

Czyniłem tak małe postępy w tych ćwiczeniach, że, niebawem, porzuciłem je z czystego wstrętu; większe natomiast zdobyłem uczyniłem w bardziej użytecznej sztuce, mianowicie tej, aby być zadowolonym ze swej doli, nie pragnąc świetniejszego losu, do którego nie czułem się stworzony. Pochłonięty chęcią umiłania życia mamusi, podobałem sobie coraz więcej przy jej boku; a kiedy

mi trzeba było oddalić się od niej aby uganiać po mieście, mimo całej namiętności do muzyki zaczynałem odczuwać ciężar mych lekcyj.

Nie wiem, czy Klaudjusz Anet spostrzegł zmianę naszego stosunku. Mam powody przypuszczać, że tak. Był to człowiek bardzo przenikliwy, ale dyskretny, który nie mówił nigdy wbrew swej myśli, ale nie zawsze ją objawiał. Mimo iż nigdy nie zdradził wobec mnie aby wiedział o czem, postępowanie jego przemawiało za tem; a postępowanie to nie wynikało z pewnością z niskich pobudek, ale z tego, iż, przejąwszy się poglądami swej pani, nie mógł potępiać jej za to, że działa w ich duchu. Mimo iż nie starszy od niej, był on tak dojrzały i poważny, że patrzył na nas prawie jako na dwoje dzieci godnych pobłażania, a my patrzyliśmy nań oboje jako na statecznego mężczyznę, na którego szacunku nam zależało. Dopiero wówczas kiedy mu się stała niewierną, poznałem jak bardzo mamusia była do niego przywiązana. Ponieważ wiedziała że myślę, czuję, oddycham jedynie przez nią, okazywała mi jawnie jak go kocha, abym i ja go kochał tak samo; a więcej jeszcze niż na przyjaźń dla niego, kładła nacisk na swój szacunek, ponieważ było to uczucie które w najszerszej mierze mogłem podzielać. Ileż razy wzruszyła nasze serca i ścisła nas obu ze łzami, powiadając iż obaj jesteśmy potrzebni dla szczęścia jej życia! I niechaj kobiety, czytając te słowa, nie uśmiechają się złośliwie. Przy jej temperamencie, a raczej jego braku, potrzeba ta nie była dwuznaczną; była jedynie potrzebą serca.

Tak wytworzyła się między nami trojgiem spójnia, jakiej przykładu nie było może na ziemi. Wszystkie nasze chęci, troski, wprost nasze serca, były wspólne; nic nie istniało poza granicami tego małego kółka. Przyzwyczajenie życia razem i życia wyłącznie z sobą stało się tak silne, że kiedy, w godzinie posiłku, brakło jednego z trojga, albo też przybył ktoś czwarty, wszystko było popsute; mimo naszych poszczególnych związków, sam-na-sam były nam mniej słodkie niż wspólne zebrania. Bezgraniczne zaufanie usuwało z nich



wszelki przymus, nudę zaś wykluczało to, iż byliśmy bardzo zajęci. Mamusia, zawsze snująca plany i zawsze czynna, nie pozwalała żadnemu z nas próżnować; prócz tego każdy miał dość sposobów wypełnienia czasu. Według mnie, beczynność nie w mniejszym stopniu jest plagą życia społecznego jak samotności. Nic bardziej nie zacieśnia umysłu, nie płodzi więcej małostek, plotek, obmowy, sprzeczek, kłamstw, niż kiedy ludzie siedzą wspólnie zamknięci w pokoju, skazani, za całe zatrudnienie, na konieczność ustawnego paplania. Kiedy wszyscy są zajęci, każdy mówi tylko wówczas kiedy ma coś do powiedzenia; ale kiedy się nic nie robi, trzeba mówić ciągle; oto, ze wszystkich rodzajów przymusu, najuciążliwszy i najniebezpieczniejszy. Śmiem iść dalej, i twierdzę, że, aby zebranie mogło być naprawdę przyjemne, trzeba nietylko aby każdy był zajęty, ale do tego zajęty czemś, co wymaga nieco uwagi. Robić szydelkiem, to znaczy nic nie robić; tyleż wymaga trudu zabawić kobietę robiącą szydelkiem, jak wówczas gdy siedzi z założonymi rękami. Ale kiedy haftuje, to co innego; zajęcie to wystarcza aby wypełnić przerwy w rozmowie. Śmieszne i drażniące jest patrzeć na półtuzina wałkoniów, jak wstają, osiadają, idą, wracają, okręcają się na pięcie, obracają dwieście razy figurkę na kominku i dręczą mózgownice aby podtrzymywać nieustający potok słów: w istocie ładne zajęcie! Tacy ludzie, cokolwiekby czynili, zawsze będą ciężarem sobie i drugim. Kiedy byłem w Motieŗ, chodziłem robić siatki do moich sąsiadek; gdybym znów zaczął żyć w świecie, miałbym zawsze w kieszeni swój bilbokecik i bawiłbym się nim cały dzień, aby się uwolnić od potrzeby mówienia, kiedybym nie miał nic do powiedzenia. Gdyby każdy czynił tak samo, ludzie staliby się mniej źli, stosunki między nimi bezpieczniejsze, a myślę że i przyjemniejsze. Słowem, niech żartownisie śmieją się jeśli mają ochotę, ale ja twierdzę, że jedyna moralność dostępna naszej epoce, to moralność bilboketu.

Zresztą, nie zostawiano nam nadto sposobności bronienia się od nudów; zbyt wiele nam ich zadawali natręci swemi uprzykrzo-

nemi wizytami, abyśmy mieli czas nudzić się, zostawszy w swoim kółku. Niecierpliwość, o którą przyprawiali mnie niegdyś wieczni goście, nie zmniejszyła się: jedyną różnicą było to, iż miałem mniej czasu na wyrażenie jej. Biedna mamusia nie wyzbyła się wcale dawnej namiętności do przedsięwzięciw i projektów: przeciwnie, im bardziej domowe potrzeby stawały się naglące, tembardziej, chcąc im wydolać, ścigała swoje chimery. Im mniej miała środków obecnie, tem więcej dawała folgę fantazji na przyszłość. Postęp lat jedynie powiększał w niej tę manję; w miarę jak traciła zamiłowanie do uciech świata, zastępowała je rozkoszami tajemnic i projektów. Z domu nie wychodzili szarlatani, fabrykanci, alchemicy, awanturnicy, którzy, rozdając fortuny milionami, zawsze wkońcu potrzebowali jakiegoś talara. Żaden nie wyszedł od niej z próżnemi rękami, i tylko dziwię się, że tak długo mogła nastarczyć tej rozrzutności, bez wyczerpania jej źródła a zarazem cierpliwości wierzycieli.

Projekt, który najbardziej pochłaniał ją wówczas, a który nie był najbardziej niedorzeczny ze wszystkich jakie tworzyła, to było założenie w Chambéri królewskiego ogrodu botanicznego, z posadą płatnego demonstratora; można odgadnąć, dla kogo miejsce to było przeznaczone. Położenie miasta w samem wnętrzu Alp było bardzo pomyślne dla studjów botanicznych; a mamusia która zawsze na poparcie jednego projektu stwarzała drugi, dołączyła do owego ogrodu instytut farmaceutyczny, który, w istocie, mógł być użyteczny w tym kraju tak biednym, gdzie aptekarze są prawie jedynymi lekarzami.

Okolicznością, która sprzyjała temu projektowi i może nasuwała go nawet, był fakt, iż protomedyk Grossi, po śmierci króla Wiktora, osiedlił się w Chambéri. Na wszelki wypadek, mamusia zaczęła sidłać swemi uprzejmościami Grossiego, który nie bardzo był uprzejmościom dostępny; był to najbardziej cierpki i brutalny człowiek, jakiego znałem. Można osądzić z paru rysów, które przytoczę.

Jednego dnia, znajdował się on na konsylium z paru lekarzami, między innymi jednym, sprowadzonym z Annecy, domowym lekarzem chorego. Ów młody człowiek śnać jeszcze niedość zaprawiony w zawodzie lekarza, ośmielił się nie podzielać zdania pana protomedyka. Ten, za całą odpowiedź, spytał go, którądy będzie wracał do domu i jakiej lokomocji ma zamiar użyć. Lekarz, zaspokoiwszy jego ciekawość, pyta z kolei, czy może mu w czem usłużyć. „Nic, nic, rzecze Grossi, chciałem tylko wyrzucić z okna gdy pan będzie przejeżdżał, aby mieć przyjemność oglądania osła jadącego na mule“. Był równie skąpy, jak bogaty i nieużyty. Jeden z przyjaciół chciał raz pożyczyć od niego pieniędzy na dobrą hipotekę. „Mój przyjacielu, rzekł ściskając mu ramię i zgrzytając zębami, gdyby św. Piotr zstąpił z nieba, aby pożyczyć odemnie dziesięć pistolów i dawał mi w zastaw Trójcę świętą, nie pożyczylbym“. Jednego dnia, zaproszony na obiad do hrabiego Picon, gubernatora Sabaudji, wielkiego dewota, przybył zawczasie; Jego Ekscelencja, zajęty odmawianiem różańca, proponuje mu tę zabawę. Nie wiedząc co powiedzieć, wykrzywia się straszliwie i klęka; ale, zaledwie odmówił dwa *Ave*, nagle, nie mogąc dłużej wytrzymać, zrywa się, chwytając rękę i odchodzi bez słowa. Hrabia Picon biegnie za nim i krzyczy: „Panie Grossi! panie Grossi! zostań pan, mamy świetną kuropatkę. — Panie hrabio, odparł tamten, odwracając się, choćbyś mi pan dawał pieczonego anioła, nie zostanę“. Oto co za człowiek był protomedyk Grossi, którego mamusia zdołała wreszcie obłaskawić. Mimo iż bardzo zajęty, przyzwyczaił się zachodzić do niej często, polubił Aneta, zaznaczał iż ceni jego wiedzę, mówił o nim z uznaniem i czegoby się nikt nie spodziewał po takim niedźwiedziu, traktował go z wyszukanemi względami, aby zatrzeć drażliwość jego początków. Mimo bowiem iż Anet oddawna nie pozostawał na stopie służącego, wiedziano że był nim dawniej; trzeba było dopiero przykładu i powagi pana protomedyka, aby podać, w stosunku do niego, ton, któregooby z pewnością komu innemu nie udało się narzucić. Kludjusz Anet, w swem czarnym ubra-

niu, starannie uczesanej peruce, z przystojną i poważną fizjogno-  
mją, statecznem i roztropnem obejściem, dość rozległemi wiadomo-  
ściami w zakresie medycyny i botaniki oraz poparciem głowy fa-  
kultetu, mógł słusznie mieć nadzieję chlubnego wywiązania się  
z obowiązków królewskiego demonstratora roślin, w razie gdyby  
zamierzony instytut doszedł do skutku. W istocie, Grossi zasmako-  
wał w tym planie, pochwalił go, i, aby go przedłożyć u dworu,  
oczekiwał jedynie chwili, gdy zawarcie pokoju pozwoli myśleć  
o użytecznych rzeczach i rozporządzać jakąś sumką potrzebną na  
ich wykonanie.

Ale ten projekt, którego spełnienie byłoby mnie pewnie pchnę-  
ło w kierunku botaniki, do czego zdaje się byłem stworzony, chy-  
bił, wskutek jednego z owych ciosów, które burzą najlepiej pomy-  
ślane plany. Było mi przeznaczone stać się, spadając ze szczebla na  
szczebel, przykładem ludzkich niedoli. Rzekłby ktoś, że to Opatrz-  
ność, która powołała mnie do tych wielkich prób, usuwała rękę od  
wszystkiego, coby mnie mogło wstrzymać na drodze mej Golgoty.  
W czasie wycieczki, którą Anet podjął w wysokie góry po *genipi*,  
rzadką roślinę znajdującą się tylko w Alpach a potrzebną panu  
Grossi, biedny chłopak zmęczył się tak, iż dostał pleurezji, z któ-  
rej owo *genipi* nie mogło uleczyć, jakkolwiek jest, powiada-  
ją, specyfikiem na tę chorobę. Mimo całej sztuki Grossiego, który  
z pewnością był bardzo biegłym lekarzem, mimo najpieczołowit-  
szych starań jakiemiśmy go otoczyli, umarł, piątego dnia, w na-  
szych rękach, po okrutnej agonji, w czasie której ja tylko krzepi-  
łem go swemi ekshortacjami. Udzielałem mu ich w wybuchach bo-  
leści i przywiązania, które, jeśli był w stanie mnie zrozumieć, mu-  
siały mu być pewną pociechą. Oto jak straciłem najpewniejszego  
przyjaciela, jakiego miałem w życiu; szacownego i rzadkiego czło-  
wieka, w którym szlachetność natury zastąpiła wychowanie, który  
w stanie służebnym pielęgnował wszystkie cnoty niepospolitych lu-  
dzi i który może zabłysnąłby niemi przed światem, gdyby okolicz-  
ności powołały go na szerszą arenę.

Nazajutrz, rozmawiałem o nim z mamusią z najżywszem i najszczerzem zmartwieniem, kiedy nagle, wśród rozmowy, przemknęła mi przez głowę niska i szpetna myśl, że, z kolei rzeczy, mnie przypadnie dziedziczyć po Anecie jego odzież, a zwłaszcza piękne czarne ubranie, które mi wpadło w oko. Pomyślałem to, temsamem powiedziałem; w stosunku do mamusi było to dla mnie jedno i to samo. Nic tak dotkliwie nie dało jej odczuć straty którą poniosła, jak to wstrętne i nikczemne odezwanie: bezinteresowność bowiem i szlachetność duszy, były to przymioty, które zmarły posiadał w najwyższym stopniu. Biedna kobieta nic nie odpowiedziała, odwróciła się i zaczęła płakać. Drogie i szacowne lzy! Zrozumiałem je, spłynęły do mego serca; splukały w niem, do ostatnich śladów, wszelkie niskie i pospolite uczucie. Nigdy, od tego czasu, już się doń nie wślizgnęło.

Ta strata stała się dla mamusi nietylko wielką boleścią, ale i wielką szkodą. Od tego czasu, interesy jej coraz bardziej zaczęły podupadać. Anet był to człowiek ścisły i rządny i on jeden utrzymywał jaki taki ład w domu. Obawiano się jego czujności; stąd i marnotrawstwo było mniejsze. Ona sama lękała się jego nagany i powściągała się w rozrzutności. Nie dość jej było posiadać jego przywiązanie, dbała i o jego szacunek i lękała się słusznych wymówek, które ośmielał się jej niekiedy czynić, gdy trwonila cudze dobro narówni z własnem. Myślałem jak on, przemawiałem nawet, ale nie miałem jego powagi i przestrogi moje nie czyniły wrażenia. Kiedy Aneta nie stało, musiałem objąć jego rolę, do czego miałem równie mało zdolności jak powołania; wypełniałem ją też bardzo lichy. Byłem niedość staranny, a przytem bardzo nieśmiały; gderając coś pod nosem, cierpiałem iż wszystko się rozłazi. Zresztą, zażywałem wprawdzie u mamusi tego samego zaufania, ale nie tej samej powagi. Widziałem nierząd, biadałem nad nim, łajałem: nie zyskiwałem posłuchu. Byłem zbyt młody i zbyt żywy, aby mieć prawo być rozsądnym; kiedy chciałem bawić się w cenzora, mamusia



dawała mi pieszczotliwe klapsy po twarzy, nazywała mnie swoim Mentorem i zmuszała do roli, która mi lepiej przystała.

Zdawałem sobie sprawę, iż nieumiarkowane wydatki muszą, prędzej czy później, wtrącić ją w nędzę. Czulem to tem wyraźniej, odkąd, objąwszy niejako zarząd domu, własnymi oczami mogłem osądzić nierówność dochodów i wydatków. Od tej epoki datuje skłonność do skąpstwa, która się we mnie rozwinęła. Nigdy, poza jakimś chwilowym wybrykiem, nie byłem szalenie rozrzutny; ale dotąd nie troszczyłem się zbytnio o to, czy mam mało czy dużo. Obecnie, zacząłem się nad tem zastanawiać i troszczyć o stan mej sakiewki. Stawałem się brudasem z bardzo szlachetnego motywu; jedynym mym celem było zabezpieczyć mamusi jakiś fundusik, na wypadek katastrofy, którą przewidywałem. Lękałem się, aby wierzyciele nie zajęli pensji lub aby pensji tej zupełnie nie zniesiono; wyobrażałem sobie, wedle mych ciasnych horyzontów finansowych, iż mój skarbczyk może się wtedy stać wielką pomocą. Ale, aby go usklądać, a zwłaszcza uchować, musiałem się kryć; nie wypadalo bowiem, aby mamusia, szamocąc się sama z kłopotmi, wiedziała, że ja tymczasem duszę pieniądze. Wyszukiwałem tedy kryjówki, w które wsuwałem ukradkiem jakieś parę ludwików, z nadzieją powiększania tego skarbu aż do chwili, w której będę go mógł złożyć u jej stóp. Ale byłem tak niezręczny w wyborze kryjówek, że mamusia zawsze je wypatrzyła; poczem, aby mi dać znać że znalazła, zabierała moje złoto, kładąc sumkę zazwyczaj większą jeszcze, ale w innej monecie. Szedłem, zawstydzony, złożyć do wspólnej kasy mój mały skarb, który mamusia zwykle obracała dla mnie, na jakieś fatalaszki, jak np. srebrna szpada, zegarek, albo coś w tym rodzaju.

Przekonawszy się dowodnie, iż oszczędzanie nie powiedzie mi się nigdy i nie na wiele przyda się mej opiekunce, zdałem sobie sprawę, iż jedyną dla mnie drogą jest starać się, abym we własnych talentach mógł kiedyś znaleźć środki do życia dla nas obojga, wówczas gdy jej samej zabraknie chleba. Niestety, dostrajając

projekty do moich upodobań, upierałem się w szalonej myśli szukania losu w muzyce. Czując w głowie pomysły i melodje, uwierzyłem, że, skoro tylko będę mógł je wyzyskać, stanę się zaraz sławnym człowiekiem, nowożytnym Orfeuszem, którego dźwięki spowodują na mnie deszcz złota. Doszedłem do tego, iż nauczyłem się czytać jakotako nuty: obecnie, najważniejszym było nauczyć się kompozycji. Trudność była w tem, aby znaleźć kogoś ktoby mnie jej nauczył; sam bowiem, tylko przy pomocy mego Rameau, nie spodziewałem się tego osiągnąć, a, od wyjazdu Mistrza, nie było w Sabaudji nikogo, ktoby bodaj trochę rozumiał się na harmonji.

Tu okaza się jeszcze jedna z owych niekonsekwencji, od których roi się w mem życiu i które tak często kazały mi iść nawspak celowi, wówczas właśnie, gdy, na pozór, zmierzałem prosto do niego. Wentura mówił mi wiele o księdzu Blanchard, swoim mistrzu, człowieku wielkiej nauki i talentu, który wówczas był kapelmistrzem przy katedrze w Besançon, później zaś zajmował także stanowisko w Wersalu. Uroilem sobie jechać do Besançon uczyć się u księdza Blanchard. Myśl wydała mi się tak rozsądna, że zdołałem do niej przekonać i mamusię. Natychmiast zabrała się do przygotowania małej wyprawki, i to z zapalem, jaki wkładała we wszystko. Tak oto, wciąż z zamiarem zapobieżenia bankructwu mamusi, zacząłem, na razie, od tego, iż przysporzyłem jej wydatku ośmiuset franków: przyspieszyłem ruinę, aby zdobyć środki dla złagodzenia jej następstw. Mimo całego szaleństwa tego postępu, działaliśmy, ja i ona nawet, w najlepszej wierze. Ja byłem przekonany, iż, w ten sposób pracuję z pożytkiem dla niej, ona że pracuję z pożytkiem dla siebie samego.

Spodziewałem się, iż zastanę jeszcze Wenturę w Annecy i poproszę o list do księdza Blanchard. Już go nie było. Za całą informację trzeba mi się było zadowolić mszą na cztery głosy, jego kompozycji i pióra, którą mi zostawił. Z tym listem polecającym puszczam się do Besançon, przejeżdżając przez Genewę, gdzie odwiedziłem krewnych, i przez Nyon, gdzie wstąpiłem do ojca. Przyjął

mnie jak zwykle i podjął się wyprawić za mną tobolek, który miał przyjsć dopiero po mnie, ile że podróż odbywałem konno. Przybywam do Besançon. Ksiądz Blanchard przyjął mnie dobrze, obiecał wskazówki i ofiarował usługi. Już mieliśmy zaczynać, kiedy dowiaduję się z listu ojca, że tobolek mój przytrzymano i skonfiskowano w Rousses, komorze francuskiej na granicy Szwajcarii. Przerażony tą nowiną, poruszam wszystkie stosunki jakie już miałem w Besançon, aby się dowiedzieć o motywach konfiskaty: pewny, że nie miałem żadnej kontrabandy, nie mogłem pojąć, na jakim pozorze mogli się oprzeć. Dowiaduję się wreszcie: trzeba opowiedzieć rzecz całą, bo wypadek jest, w istocie, ciekawy.

Widywałem w Chambéri starego Lyończyka, poczciwego człowieka, nazwiskiem Duvivier, który urzędował niegdyś w *wizach* za regencji, i który, w braku innego zajęcia, zgodził się pracować w katastrze. Niegdyś był to światowy człowiek; posiadał talenty, nieco wykształcenia, miłe obejście; znał się na muzyce; że zaś pracowałem z nim w jednej kwaterze, wśród niedźwiadków którzy nas otaczali, zbliżyliśmy się z sobą naturalną siłą atrakcyjną. Zachował on pewne stosunki w Paryżu: z nich czerpał owe przyjemne frazszki, owe ulotne nowości, które rodzą się niewiadomo skąd, umierają niewiadomo jak, i o których nikt nie pomyśli, skoro się przestanie o nich mówić. Ponieważ od czasu do czasu brałem go na obiad do mamusi, zabiegał się potrosze o moje względy i aby się wypłacić niejako, starał się obudzić we mnie smak do tych ramot, do których zawsze miałem taką odrazę, że nigdy nie zdarzyło mi się w życiu przeczytać samemu bodaj jednej. Nieszczęściem, jeden z tych przeklętych świstków został w kieszeni od kamizelki nowego ubrania, które włożyłem na siebie parę razy aby być w porządku z celnikami. Ten świstek, była to dość płaska jansenistyczna parodia pięknej sceny z *Mitrydata* Racine'a. Nie przeczytałem ani dziesięciu wierszy i zostawiłem papier, przez zapomnienie, w kieszeni. Oto, co spowodowało konfiskatę. Urzędnicy, spisując inwentarz walizki, pomieścili na czele wspaniałą protokół, w którym

w przypuszczeniu iż pismo to przemyca ktoś z Genewy poto aby je wydrukować i rozszerzać we Francji, rozwodzili się w świętem oburzeniu przeciw nieprzyjaciółom Boga i Kościoła i w pochwałach nad swą pobożną czujnością, która wstrzymała wykonanie piekielnego zamysłu. Uważali widocznie, że i moje koszule trącą herezją, gdyż, na rachunek tego straszliwego papieru, wszystko uległo konfiskacie i nigdy nie otrzymałem żadnego wyjaśnienia ani wiadomości o mym biednym tobołku. Urzędy, do których się zwracano, wymagały tylu szczegółów, informacji, certyfikatów, dokumentów, iż zgubiwszy się sto razy w tym labiryncie, musiałem wszystkiego poniechać. Żałuję szczerze, że nie zachowałem protokołu z komory w Rousses: był to dokument godny zająć chlubne miejsce wśród tych, których zbiór mam dołączyć do niniejszego rękopisu.

Ta strata sprowadziła mnie z powrotem do Chambéri, nim zdążyłem cośkolwiek zacząć z księdzem Blanchard. Widząc, iż nie-szczęście jakieś ściga mnie we wszystkich przedsięwzięciach, postanowiłem wreszcie trzymać się jedynie mamusi, dzielić jej dołę, i nie troskać się o przyszłość, której nie mogłem zaradzić. Przyjęła mnie jakgdybym wrócił obładowany skarbami, odnowiła powoli mą skromną garderobę, i całe to nieszczęście, dość znaczne dla nas obojga, poszło prawie natychmiast w niepamięć.

Mimo że ta katastrofa ostudziła mnie w projektach muzycznych, nie przestałem dalej studjować mego Rameau. Dzięki wysiłkom, doszedłem wreszcie do tego, iż zacząłem go rozumieć. Skleiłem parę kompozycji, których powodzenie zachęciło mnie. Hrabia de Bellegarde, syn margrabiego d'Antremont, wrócił z Drezna po śmierci króla Augusta. Długo mieszkał w Paryżu: lubił namiętnie muzykę, zwłaszcza Rameau. Brat jego, hrabia de Nangis, grywał na skrzypcach; hrabina de la Tour, ich siostra, śpiewała trochę. Wszystko to wprowadziło w Chambéri muzykę w modę. Stworzono rodzaj publicznego koncertu, którego zrazu ja miałem objąć dyрекcją: ale spostrzeżono niebawem, iż przechodzi to moje siły i ułożono rzecz inaczej. Bądź co bądź, udało mi się wykonać parę drob-

nych utworów swojej kompozycji, między innymi kantatę, która się bardzo podobała. Nie był to utwór dobrze zbudowany, ale pełno w nim było nowych melodyj i efektów, jakich nie spodziewano się po mnie. Obaj panowie nie mogli uwierzyć, abym, czytając tak lichy nuty, mógł, mimo to, komponować wcale nieźle, i ani wątpili iż ustroiłem się w cudze piórka. Aby sprawdzić rzecz, jednego ranka, przyszedł do mnie pan de Nangis z kantatą Clérambaulta, którą przetransponował, jak mówił, dla siebie; chodziło o to, aby dorobić akompanjament, ponieważ oryginalny nie da się jakoby zgodzić z transpozycją. Odpowiedziałem, że to jest nielada praca i że się jej nie da wykonać od ręki. Myślał, że się chcę wykręcić i prosił, bym ułożył akompanjament bodaj do jednej melodji. Ułożyłem go tedy, lichy zapewne, bo aby coś zrobić dobrze, trzeba mi w każdej rzeczy czasu i swobody; ale ułożyłem, w każdym razie, podług reguł: że zaś pan de Nangis był przy tem obecny, nie mógł dłużej wątpić o mej znajomości prawideł kompozycji. Dzięki temu, nie straciłem lekcyj, ale ostygłem nieco do muzyki, widząc że złożył się koncert i że się obszedł bez mego współudziału.

W tym mniej więcej czasie, po zawarciu pokoju, armja francuska wracała przez góry. Wielu oficerów odwiedziło mamusię, między innymi hrabia de Lautrec, pułkownik pułku Orleańskiego, później ambasador w Genewie i wreszcie marszałek Francji. Zostałem mu przedstawiony. Z tego co mu mamusia o mnie powiedziała, zdawał się bardzo mną przejęty; poczynił mi różne nadzieje, o czem przypomniał sobie dopiero w ostatnim roku swego życia, wówczas kiedy już nie potrzebowałem jego usług. Młody margrabia de Sennecterre, którego ojciec był wówczas ambasadorem w Turynie, przejeżdżał w tym samym czasie przez Chambéri. Był na obiedzie u pani de Menthon: ja również. Po obiedzie, rozmowa zesła na muzykę, w której był kuty na cztery nogi. Opera *Jephthe* była wówczas nowością: wspominał o niej, przyniesiono nuty. Zadrzałem, kiedy mi zaproponował, abyśmy, we dwóch, wykonali tę operę. Otwierając, natrafił na ten sławny ustęp na dwa chóry:



Ziemia, niebo, piekło samo,  
Wszystko korzy się przed Panem.

Rzekł do mnie: „Ile pan chcesz objąć partyj? Ja podejmuję się tych sześciu“. Nie byłem jeszcze przyzwyczajony do tej francuskiej werwy; mimo iż niekiedy zdarzyło mi się odstękać jaką partycję, nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób jeden człowiek może wykonać sześć partyj, a choćby dwie. Nie było dla mnie uciążliwej rzeczy w muzyce, niż takie lekkie przeskakowanie z jednej partyji do drugiej i równoczesne ogarnianie okiem całej partytury. Ze sposobu, w jaki wywiązałem się z zadania, pan de Sennecterre musiał nabrać podejrzenia, że nie mam pojęcia o muzyce. Może dla sprawdzenia tej wątpliwości, zaproponował mi spisanie melodji, którą chciał ofiarować pannie de Menthon. Nie mogłem się wymówić. Zaśpiewał piosenkę, ja notowałem, nie żądając zbyt wielu powtórzeń. Odczytał ją, i znalazł, że jest bardzo poprawnie zanotowana, bo też tak było. Widząc poprzednio me zakłopotanie, podkreślał teraz z przyjemnością ten mój drobny tryumf. Była to wszelako rzecz nader prosta. W gruncie, posiadałem muzykę bardzo dobrze; brakło mi jedynie owego błyskawicznego rzutu oka, którego nie miałem nigdy w niczem, a który w muzyce można nabyć jedynie długą praktyką. Bądź co bądź, wdzięczny mu byłem za tę miłą gorliwość, z jaką starał się zatrzeć w oczach drugich i moich własnych mały wstyd, którego doznałem poprzednio. W dwanaście czy piętnaście lat później, spotykając się z nim w salonach paryskich, miałem wiele razy pokusę przypomnieć mu to zdarzenie i okazać, iż zachowałem pamięć o niem. Ale, od tego czasu, stracił oczy: lękałem się odnowić jego ranę, przypominając mu ich dawniejszą sprawność, zmilczałem przeto.

Dotykam tu momentu, który stanowi poniekąd łącznik mej minionej egzystencji z obecną. Niektóre przyjazne stosunki z tamtej epoki, przeciągając się w późniejszą, stały mi się bardzo cenne. Często przyszło mi żałować owego szczęśliwego czasu skromnej

mierności, kiedy ci, którzy oświadczaali mi się z przyjaźnią, kochali mnie dla mnie samego, przez prostą życzliwość, a nie przez próżność utrzymywania stosunków z głośnym człowiekiem, lub przez ukrytą chęć szkodenia mi. Od owego to czasu, datuje pierwsza znajomość z moim starym przyjacielem Gauffecourt, który pozostał nim zawsze, mimo wszelkich starań jakie czyniono aby go odemnie odwrócić. Zawsze pozostał! nie. Niestety! straciłem go niedawno. Ale nie przestał mnie kochać póki żył i przyjaźń nasza zgasła dopiero z nim samym. Pan de Gauffecourt był to jeden z najmiłszych ludzi jacy istnieli. Niepodobna go było poznać, aby go nie polubić, a żyć z nim bliżej, aby się doń nie przywiązać na zawsze. W życiu nie widziałem fizjognomji bardziej otwartej, serdecznej, pogodnej, bardziej tryskającej uczuciem i rozumem, bardziej budzącej zaufanie. Choćby się było niewiem jak powściągliwym, mimowoli, od pierwszego zetknięcia, było się z nim tak poufale, jakby się go znało od lat dwudziestu. Ja, który się tak trudno oswajam z widokiem nowych twarzy, z nim czułem się swobodny natychmiast. Jego ton, akcent, rozmowa były w zupełnej zgodzie z fizjognomją. Dźwięk głosu miał jasny, pełny; dźwięczny, piękny bas, jędrny i wnikliwy, który radował ucho i wibrował w sercu. Niepodobna, by mogła istnieć równiejsza i bardziej luba wesołość, prostszy i naturalniejszy wdzięk, miłsze i pielęgnowane z większym smakiem talenty. Dołączcie do tego serce kochające, ale kochające nieco nadto cały świat, charakter uczynny bez wyboru, z zapalem gotowy oddać się na usługi przyjaciół, lub raczej widzący przyjaciół w ludziach, którym mógł usłużyć; przytem umiejący zręcznie załatwiać własne sprawy, załatwiając bardzo gorąco sprawy drugich. Gauffecourt był synem prostego zegarmistrza i sam też był zegarmistrzem. Ale talenty jego, jak i jego warunki, przeznaczały go do innej sfery, gdzie też niebawem znalazł poczesne miejsce. Zapoznał się z panem de la Closure, posłem francuskim w Genewie, który nabrał doń sympatji. Polecił go w Paryżu przyjaciółom; dzięki stosunkom, zyskał sobie dostawę soli w Valais, co równało się dwudziestu tysią-

com funtów rocznie. Ale, o ile mężczyźni darzyli go sympatją, kobiety poprostu cisnęły się do niego: kłopot miał tylko z wyborem. Rzeczą rzadką i najzaszczytniej o nim świadczącą było to, iż, mając stosunki we wszystkich sferach, wszędzie był lubiany, rozrywany w każdym towarzystwie, a nigdy nie ściągnął na siebie niczyjej zazdrości ani nienawiści: sędzę, że umarł, nie uczyniwszy sobie w życiu ani jednego wroga. Szczęśliwy człowiek! Odwiedzał co roku kąpiele w Aix, gdzie się zbiera wykwintny świat okoliczny. Zażyły z całą szlachtą sabaudzką, przybył z Aix do Chambéri odwiedzić hrabiego de Bellegarde i ojca jego, margrabiego d'Antremont, w którego domu mamusia mnie z nim zapoznała. Znajomość ta, która zdawała się nie mieć żadnych widoków i na szereg lat się przerwała, odnowiła się przy sposobności o której powiem i zmieniła się w prawdziwą przyjaźń. Ale, gdyby nawet wspomnienie jego nie tyczyło mnie tak blisko osobiście, był to człowiek tak uroczy i tak obdarzony przez naturę, iż, dla samej czci rodzaju ludzkiego, uważałbym, iż godzi się przechować jego pamięć. Ten tak czarujący człowiek miał zapewne, jak się okaże, swoje wady, ale, gdyby ich nie miał, nie byłby może tak uroczy.

Druga przyjaźń, z owego czasu jeszcze nie wygasła i mam i mnie dotąd tą nadzieją doczesnego szczęścia, która tak trudno zamiera w sercach ludzi. Pan de Conzié, szlachcic sabaudzki, wówczas młody i ujmującej postaci, powziął kaprys uczenia się muzyki, lub raczej zbliżenia się z tym, który jej uczył. Z bystrością i smakiem w rzeczach sztuki, pan de Conzié łączył słodycz charakteru, która czyniła go bardzo miłym i serdecznym w pożyciu: cnoty, które i ja posiadam w wycokim stopniu, o ile je czuję w drugich. Niebawem, zaprzyjaźniliśmy się<sup>1)</sup>. Zarodek literatury i filozofji, który zaczął fermentować w mej głowie i potrzebował jedynie nieco uprawy

---

<sup>1)</sup> Spotkałem go później i znalazłem zupełnie przeobrażonym. O, jakim wielkim czarodziejem jest pan de Choiseul! Żadna z moich dawnych znajomości nie umknęła się jego metamorfozom.

i podnieć współzawodnictwa aby się rozwinąć, znalazł je w tem zbliżeniu. Pan de Conzié mało miał zdolności do muzyki; to było dla mnie wielkie szczęście; lekcje schodziły nam na czem innem niż na solfedżowaniu. Śniadaliśmy razem, rozmawiali, czytali to i owo z nowości, o muzyce ani słowa. Korespondencja Woltera z księciem pruskim napelniała wówczas świat rozgłosem: rozmawialiśmy często o tych dwóch sławnych ludziach, z których jeden, od niedawna na tronie, zapowiadał się takim jakim się miał niebawem okazać, drugi zaś, równie miészany z błotem jak dziś jest otoczony podziwem, budził w nas szczere współczucie z powodu nieszczęść, które tak często są kłatwą wielkich talentów. Książę pruski nie zaznał szczęścia w miłości; Wolter nie miał — zdawało się — pokosztować go nigdy. Zainteresowanie, które budzili w nas obaj, rozciągało się na wszystko, co ich tyczyło. Wszystko, co Wolter napisał, wertowaliśmy natychmiast. Przyjemność, jaką znajdowałem w tej lekturze, obudziła we mnie chęć wykwintnego władania piórem; starałem się naśladować piękny styl autora, którym byłem oczarowany. W jakiś czas potem, pojawiły się jego *Listy filozoficzne*. Mimo iż nie są z pewnością najlepszem dziełem Woltera, one to zwłaszcza pchnęły mnie ku studjom literackim, i to zamilowanie, raz zrodzone, nigdy, od tego czasu, nie wygasło.

Nie nadeszła wszelako chwila, aby się mu na serjo poświęcić. Tkwiła we mnie jeszcze jakaś zmienność usposobienia, jakiś koczowniczy pęd, raczej hamowany niż uśpiony, podsycony zresztą trybem domu pani de Warens, zbyt hałaśliwym dla mego samotnictwa. Ta zgraja nieznanomych, którzy napływali tam codzien ze wszystkich stron; do tego przekonanie, iż wszyscy ci ludzie starają się ją jedynie wyzyskać i wywieść w pole, każdy na swój sposób, wszystko to czyniło mi dom miejscem tortury. Od czasu, jak, objąwszy miejsce po Klaudjuszu w ufności jego pani, patrzałem zbliżka na stan jej interesów, widziałem, iż zło postępuje w sposób dla mnie przerażający. Sto razy przedkładałem, prosiłem, nalegałem, zaklinałem; zawsze napróżno. Rzucałem się do jej stóp, przedsta-

wiając w energicznych słowach wiszącą katastrofę; upominałem, aby ograniczyła wydatki, zaczawszy odemnie samego, aby raczej przecierpiała trochę, póki jeszcze jest młoda, niżby miała, mnożąc długi i wierzycieli, narażać schyłek lat na nędzę i utrapienie. Wzruszona szczerością mego zapалу, rozkliwiała się wraz ze mną i przyrzekała cuda. Ale zjawił się jakiś wydrwigrosz, i już zapomniała o wszystkim. Po tysięcznych daremnych próbach, cóż mi zostawało, jak odwracać oczy od złego, któremu nie mogłem zapobiec? Wydalałem się z domu, którego drzwi nie byłem mocen ustrzec; robiłem wycieczki do Nyonu, Genewy, Lyonu; podróże, które, odrywając mnie od mej tajemnej zgryzoty, pomnażały zarazem jej przyczynę przez wydatki z niemi połączone. Mogę przysiąc, byłbym z radością ścierpiał wszelkie ograniczenia, gdyby mamusia miała jakąś korzyść z tej oszczędności; ale pewny, iż to, czego ja sobie odmawiam, przechodzi w ręce hultajów, korzystałem z jej rozrzutności, cisnąc się niejako z nimi do podziału. Podobny owe-mu psu, wracającemu z rzeźni, unosiłem swój ochłap z kawałka mięsa, którego nie mogłem ocalić.

Nie brakowało zresztą pozorów do wszystkich tych podróży. Mamusia sama mogła mi ich dostarczyć poddostatkiem, tyle wszędzie miała stosunków, spraw, negocjacyj, poleceń wymagających kogoś pewnego. Chętnie korzystała z mych usług, ja skwapliwie chwytalem sposobność; co, wszystko razem, składało się na życie dość wędrowne. Tym podróżom zawdzięczam parę znajomości, które, w przyszłości, okazały mi się użyteczne lub przyjemne; między innymi, w Lyonie, znajomość z panem Perrichon; żałuję, iż niedość ją pielęgnowałem, zważywszy iż okazywał mi wiele łaskawości; znajomość z dobrym Parisot, o którym wspomnę jeszcze; w Grenobli z panią Deybens i z prezydentową de Bardouanche, kobietą wielkiego rozumu, która byłaby mnie polubiła, gdybym miał sposobność częściej ją widywać. W Genewie poznałem się z panem de la Closure, który opowiadał mi o mojej matce, ile że, mimo śmierci i upływ lat, serce jego nie mogło jej zapomnieć. Takż z dwoma



panami Barillot, synem i ojcem: ojciec, który nazywał mnie wnukiem, był to człowiek niezmiernie miły, jeden z najzacniejszych jakich znałem. Podczas zamieszek Rzeczypospolitej, ci dwaj obywatele wmięszali się w dwie przeciwne partje; syn w partję mieszczzańską, ojciec w urzędniczą: kiedy chwycono za broń w roku 1737, widziałem, będąc w Genewie, jak ojciec i syn wychodzili uzbrojeni z tego samego domu, jeden udając się na ratusz, drugi na swą kwaterę, w tem poczuciu, iż, za dwie godziny, znajdą się naprzeciw siebie, aby się mordować wzajem. Ten okropny widok wywarł na mnie takie wrażenie, że przysięgłem sobie nie przykładać nigdy ręki do żadnej wojny domowej i nie obstawać nigdy wewnątrz państwa za wolnością z bronią w ręku, ani moją osobą ani mojem zdaniem, jeślibym kiedykolwiek wrócił do praw obywatela. Oddaję sobie świadectwo, iż dotrzymałem tej przysięgi w dość drażliwej sytuacji i sądzę, iż powściągliwość tę powinno mi się liczyć za pewną zasługę.

Ale wówczas daleko byłem od owej pierwszej fermentacji patriotyzmu, jaką widok Genewy pod bronią wzniecił w mem sercu. Jak bardzo byłem od tego odległy, można osądzić z obciążającego dla mnie faktu, którego zapomniałem umieścić w swoim miejscu, a którego nie powinienem był opuścić.

Wuj Bernard wyjechał przed kilku laty na Karolinę, aby tam budować miasto Charlestown, wedle stworzonego przez siebie planu; wkrótce potem umarł tam. Mój biedny krewniak również zginął w służbie króla pruskiego; w ten sposób, ciotka, prawie równocześnie, straciła męża i syna. Straty te odgrzały nieco w jej sercu czułość dla mnie, najbliższego krewnego jaki jej pozostał.

Kiedy bawilem w Genewie, mieszkałem u niej i bawilem się szperaniem i przeglądaniem książek i papierów po wuju. Znalazłem tam wiele dokumentów, i listy, jakich z pewnością niktby się nie domyślał. Ciotka, która niewiele dbała o te szpargały, pozwoliłaby mi wszystko zabrać, gdybym zechciał. Zadowolilem się paru dziełami komentowanemi ręką dziadka, pastora Bernard. Między in-

nemi były tam pisma pośmiertne Rohaulta in 4<sup>o</sup>, a margines ich pelen był doskonałych przypisków, które obudziły we mnie smak do matematyki. Księga ta została między książkami pani de Warens; zawszem żałował, że jej sobie nie zachowałem. Do tych dzieł dołączyłem kilka pamiętników w rękopisie i jeden drukowany; był pióra słynnego Micheliego Ducret, człowieka wielkiego talentu, głębokiej wiedzy, ale niespokojnego umysłu. Ścigany nader okrutnie przez rząd genewski, umarł niedawno w fortecy Arberg, gdzie go więziono od wielu lat, za udział, jak mówiono, w spisku berneńskim.

Pamiętnik ten, była to dość bystra krytyka owego wielkiego i śmiesznego planu fortyfikacyj, które częściowo przeprowadzono w Genewie, ku wielkiemu pośmiewisku ludzi fachowych, nie znających tajemnego celu, jaki Rada miała w wykonaniu tego olbrzymiego przedsięwzięcia. Pan Micheli, wykluczony z komisji fortyfikacyjnej za to iż zganil ten plan, mniemał, jako członek Rady Dwustu, a nawet jako obywatel, iż ma prawo wyrazić swe zdanie. Uczynił to w owym memorjale, który miał nieostrożność wydrukować, jakkolwiek go nie wydał, kazał bowiem wybić tylko pewną ilość egzemplarzy, które rozesłał Radzie Dwustu i które wszystkie przejęto na poczcie na rozkaz Rady Mniejszej. Znalazłem ten memorjał w papierach wuja, wraz z odpowiedzią jaką polecono mu sporządzić, i zabrałem jedno i drugie. Owa podróż wypadła niedługo po mojem wystąpieniu z klasztoru; utrzymywałem jeszcze pewne stosunki z adwokatem Coccelli, który stał na jego czele. W jakiś czas potem, dyrektor komory wpadł na pomysł zaproszenia mnie, abym mu trzymał dziecko do chrztu: kumą miała być pani Coccelli. Te honory zawróciły mi w głowie; dumny z zażyłości z panem adwokatem, starałem się nadrabiać ważnością, aby się stać godnym tej chwały.

W tym celu, uważałem, że nie mogę zrobić nic lepszego, niż pokazać mu drukowany memorjał pana Micheli, egzemplarz w istocie rzadki. Chciałem go tem przekonać, że należę do sfery dygni-

tarzy genewskich, znających sekrety Stanu. Przez jakąś wstrze-  
mieźliwość, której motywy trudno mi wytłómaczyć, nie pokaza-  
łem mu odpowiedzi wuja na memorjal: może dlatego, że była w rękopisie, jedynie zaś czcionki zdawały mi się godne pana adwokata. Zrozumiał wszelako tak dobrze wartość tego pisma, które, w głupocie swej, mu powierzyłem, że nigdy już nie zdołałem ujrzeć go na oczy, ani tem mniej odzyskać. Wreszcie, przekonany o bezużyteczności swych wysiłków, uczyniłem sobie zasługę z musu i zmieniłem kradzież w darowiznę. Nie wątpię ani chwili, że dobrze wyzyksał wobec dworu w Turynie ten okaz, bardziej ciekawy niż użyteczny, i że postarał się, aby mu, w ten lub inny sposób, z nawiązką zwrócono to, co rzekomo musiał go kosztować ten nabytek. Na szczęście, ze wszystkich przyszłych konjunktur, najmniej prawdopodobną jest, aby kiedy król Sardynji miał oblegać Genewę; że jednak niema w tem niemożliwości, całe życie będę sobie wyrzucał głupią próżność, przez którą odsłoniłem najslabsze strony miasta jego odwiecznemu wrogowi.

Przebyłem w ten sposób dwa czy trzy lata pośród muzyki, lekarstw, projektów, podróży, bujając z jednej rzeczy na drugą, próbując się ustalić ale nie wiedząc na czem, stopniowo wszelako wciągając się w nauki, odwiedzając literatów, słysząc rozmowy o literaturze, niekiedy samemu odważając się głos zabierać i przyswajając sobie raczej gwarę książek niż ich zawartość. W wycieczkach do Genewy, odwiedzałem, od czasu do czasu, po drodze, mego dawnego dobrego przyjaciela, pana Simon, który bardzo podsyczał mą rodzącą się emulację świeżutkiemi nowinami z rzeczypospolitej literackiej, zaczerpniętymi ze starych kalendarzy. Widywałem też w Chambéri pewnego jakobina, profesora fizyki, pocziwego mnicha, którego nazwiska zapomniałem. Pokazywał mi często małe doświadczenia fizyczne, które mnie szalenie bawiły. Postanowiłem, za jego przykładem, sporządzić sympatyczny atrament. W tym celu, napelniwszy butelkę więcej niż do połowy niegaszonem wapnem, aury pigmentem i wodą, zatkałem ją dobrze. Natychmiast, zawar-

tość flaszki zaczęła się burzyć gwałtownie. Rzuciłem się ku flasce, aby ją otworzyć, ale już było późno; wybuchła mi przed nosem jak bomba. Nalykałem się aury pigmentu, wapna: o mało nie przyplaciłem tego życiem. Zaniewidiałem przeszło na sześć tygodni; to mnie nauczyło, aby się nie brać do fizyki doświadczalnej, nie znając pierwszych jej zasad.

Przygoda ta wypadła bardzo nie w porę ze względu na moje zdrowie, które, od jakiegoś czasu, wybitnie się psuło. Nie wiem skąd pochodziło, że, będąc z natury silnej kompleksji i nie dopuszczając się żadnych ekscesów, nikłem w oczach. Jestem dość dobrej budowy, pierś mam szeroką, płuca mają gdzie oddychać: mimo to, cierpiałem na krótki oddech, czułem jakiś ucisk, wzdychałem mimowoli, miewałem bicie serca, plułem krwią; do tego przyłączyła się trawiąca gorączka, której się nigdy całkowicie nie wyżyłem. Jak można popaść w ten stan w kwiecie wieku, bez uszkodzenia żadnego organu, nie uczyniwszy dla zniszczenia zdrowia?

Miecz zużywa pochwę, powiada przysłowie. To i moje dzieje. Namiętności dawały mi życie, namiętności też mnie zabiły. Jakie namiętności? powie ktoś. Nic, blahostki, rzeczy najbardziej nikłe pod słońcem, ale którymi przejmowałem się jakgdyby chodziło o zdobycie Heleny, albo tronu wszechświata. Przedewszystkiem, kobiety. Odkąd posiadałem jedną, zmysły moje uspokoiły się, serce nigdy. Potrzeba miłości pożerała mnie na samem łonie rozkoszy. Miałem tkliwą matkę, ukochaną przyjaciółkę, ale trzeba mi było kochanki. Wyobrażałem ją sobie w mych objęciach na miejscu mamusi; kształtowałem ją w tysiączne sposoby. aby się nasycić tą odmianą. Gdybym, obejmując mamusię, miał świadomość, że ją właśnie trzymam w ramionach, uściski moje nie byłyby z pewnością mniej żywe, ale wszystkie żądze moje zgasłyby; szło chałem z czułości, ale nie czułem się szczęśliwy. Szczęście! czyż ono jest kiedy udziałem człowieka? Ach! gdybym jeden jedyny raz w życiu zakosztował, w całej pełni, rozkoszy miłości, nie wyobrażam sobie

aby moje istnienie mogło jej nastarczyć; wyzionąlbym ducha na miejscu.

Trawiłem się tedy miłością bez przedmiotu; a w ten właśnie sposób wyczerpuje ona najwięcej. Byłem niespokojny, dręczyłem się złym stanem interesów mamusi, jej nierozwagą, która nieuchronnie musiała w krótkim czasie spowodzić na dom ruinę. Moja okrutna wyobraźnia, która zawsze uprzedza nieszczęście, wciąż ukazywała mi tę ostateczność w całej okropności i wszystkich jej następstwach. Widziałem z góry siebie, rozdzielonego wskutek nędzy z tą, której poświęciłem życie i bez której nie miało ono powabu. Oto, jakie wzruszenia miały mą duszą. Pragnienia i obawy pożerały mnie.

Muzyka stanowiła inną namiętność, mniej gwałtowną, ale nie mniej wyczerpującą, przez zapal z jakim się jej oddawałem; przez zaciekanie się w zawilich książkach Rameau; przez mój niezłomny upór w tem aby ogarnąć je pamięcią, która wzdragała się niemniej uparcie; przez moje nieustanne wędrówki i olbrzymie kompilacje, jakie gromadziłem, trawiąc noce na kopjowaniu. Czy ja wiem zresztą co jeszcze? Lada szaleństwo, które przemknęło przez niesforną głowę, lada przelotne zachcenie, podróż, koncert, kolacja, zamierzona przechadzka, przeczytana powieść, komedja, wszystko stało się natychmiast namiętnością, która, w śmiesznym zacierzeniu, rzucała mnie na pastwę najprawdziwszych cierpień! Lektura urojonych nieszczęść Klewelandy, podjęta z furją i często przerywana, więcej, przypuszczam, zepsuła mi krwi, niż wszystkie własne niedole.

Bawił w miasteczku pewien genewczyk, nazwiskiem Bagueret, który dawniej, za Piotra Wielkiego, był urzędnikiem przy dworze w Rosji; licha figura, przytem jeden z największych szaleńców jakich zdarzyło mi się oglądać, zawsze pelen projektów równie warjackich jak on sam, u którego miliony leciały z nieba jak deszcz, ile że zera nic go nie kosztowały. Ten człowiek, przybywszy do



Chambéri dla jakiegoś procesu, opętał, jak łatwo sobie wyobrazić, mamusię, i, za bogactwa swoich zer, któremi raczył ją hojnie, wyciągał z niej, sztuka po sztuce, jej biedne talary. Nie lubilem go: widział to; ze mną nie było to trudno: otóż, nie było służalstwa, którego by nie próbował by mnie ugłaskać. Wpadł na pomysł nauczania mnie szachów, w które grywał nieco. Spróbowałem prawie wbrew woli; ale, skoro tylko nauczyłem się jako tako poruszeń, czynilem tak szybkie postępy, że, pod koniec pierwszego seansu, dawałem mu wieżę for, którą on mi dawał na początku. Nie trzeba było więcej: zwarzowałem na punkcie szachów. Kupuję sobie szachownicę, podręcznik, zamykam się w pokoju, trawię dnie i noce, usiłując się wyuczyć na pamięć wszystkich partyj, wpakować je sobie w głowę dobrowolnie lub przemocą, grywając sam ze sobą bez wytchnienia. Po dwóch czy trzech miesiącach tej pięknej pracy i niepojętych wysiłków, idę do kawiarni, wychudły, żółty, niemal ogłupiały. Próbuję się z Bagueretem, ponawiam próbę: bije mnie raz, dwa razy, dwadzieścia razy. Tyle kombinacyj pomieściło mi się w głowie: mózg miałem tak osłabiony, że ciemno mi się prosto robiło przed oczami. Za każdym razem, kiedy, z książką Filidora albo Stammy, chciałem ćwiczyć się w rozgrywaniu partyj, przytrafiło mi się to samo; wyczerpawszy się wysiłkiem, zamiast grać lepiej, grałem gorzej niż wprzód. Zresztą, czy zaniedbywałem szachy, czy też, grywając więcej, znów przypominałem je sobie, nigdy o włos nie postąpiłem poza ten pierwszy sukces i zawsze odnalazłem się w tym samym punkcie. Gdybym się ćwiczył tysiąc wieków, wszystko co mógłbym osiągnąć, byłaby wieża for Bagueretowi i nic więcej. To mi piękne użycie czasu! powiecie. A wierzajcie mi, zużyłem go niemało. Przerwałem tę pierwszą próbę dopiero wówczas, kiedy mi już zupełnie sił nie stało. Kiedy wyszedłem wreszcie z pokoju, wyglądałem jak nieboszczyk i z pewnością, przy tym trybie, byłbym nim został niedługo. Przyznacie, że, z taką głową, trudno, zwłaszcza w zapalnej młodości, cieszyć się jednostajnie dobrem zdrowiem.

Zaburzenia zdrowia oddziały wybitnie na mój humor i ostudziły zapal fantazji. Czując się słabszy, stałem się spokojniejszy i wyzbyłem się nieco podróŜomanji. Siedzący tryb życia sprowadził na mnie nie nudę, ale melancholję. Miejsce dawnych wybuchów zajęły wapory; omdlałość przeszła w smutek; płakałem i wzdychałem bez powodu; miałem uczucie, że życie mi ucieka, nim go pokosztowałem; wzdychałem nad losem, w jakim zostawiam biedną mamusię, nad niedolą która niebawem ją czeka; mogę powiedzieć, że opuścić ją i wydać na łup nieszczęścia było jedynym mym żalem. Wreszcie, rozchorowałem się zupełnie. Pielęgnowała mnie tak, jak żadna matka nie pielęgnowała dziecka; co i jej wyszło na pożytek, odrywając ją od projektów i usuwając z domu wyzyskiwaczy. Jakże słodką byłaby mi śmierć, gdyby przyszła w tej chwili! Jeśli mało zakosztowałem słodyczy życia, niewiele też zaznałem jego nieszczęść. Dusza moja mogła spokojnie odejść, bez okrutnego poczucia ludzkiej niesprawiedliwości; poczucia, które zatrzuwa zarówno życie jak śmierć. Miałem tę pociechę, iż przetrwam, w lepszej mej połowie, samego siebie: czyż to można nawet nazwać śmiercią! Gdyby nie niepokój o los mamusi, byłbym umarł tak jak się zasypia: a i ten niepokój nawet miał za przedmiot istotę serdeczną i czułą, która czyniła co mogła aby złagodzić jego gorycz. Mówiłem jej: „Oto w twe ręce składam całe me istnienie; spraw, aby było szczęśliwe“. Kilka razy, kiedy czulem się najgorzej, zdarzało mi się wstać w nocy i powlec do pokoju mamusi, aby udzielać jej rad, pełnych słuszności i rozsądku, ale w których troska o jej los brała prym przed wszystkim innym. Łzy były jak gdyby mem pożywieniem i lekarstwem; skrzepiałem się, wylewając je obficie przy niej, z nią, siedząc na jej łóżku i tuląc jej ręce w moich. Godziny upływały na tych nocnych rozmowach, a wracałem z nich zdrowszy niż przedtem. Uspokojony i rad z przyrzeczeń które mi uczyniła, z nadziei jakie mi dała, zasypiałem z błogością w sercu i ufnością w Opatrzność. Dalby Bóg, aby, przy tylu przyczynach nienawidzenia życia, po tylu burzach jakie wstrząsnęły mem istnieniem czy-

niąc mi je okrutnym ciężarem, śmierć, która ma je zakończyć, zamknęła mi oczy równie łagodnie, jak to mogła uczynić wówczas!

Przy pomocy starań, czuwania i wysiłków wprost nie do pojęcia, ocaliła mnie; to pewna, że ona jedna mogła mnie ocalić. Nie wiele mam wiary w medycynę lekarzy, ale wiele w medycynę prawdziwych przyjaciół; nad tem, od czego zależy nasze szczęście, czuwamy zawsze z troskliwością, której nic nie zastąpi. Jakież rozkoszne uczucie ogarnęło nas, skorośmy się uczuli wróceni sobie wzajem! Wzajemne przywiązanie nie wzmogło się od tej chwili; to niemożliwe; ale nabrało czegoś bliższego jeszcze, wzruszającego w swej prostocie. Stałem się całkowicie jej dziełem, jej dzieckiem, więcej niż gdyby była mą prawdziwą matką. Zaczęliśmy bezwiednie unikać wszelkiej rozłąki, stapiać niejako nasze sympatje w jedną wspólną; czując, że nietylko jesteśmy sobie potrzebni ale i wystarczamy sobie, przyzwyczailiśmy się nie myśleć o niczem poza sobą, ograniczać zupełnie nasze szczęście i nasze pragnienia do tego wzajemnego posiadania, jedyne go może w dziejach ludzkości, które nie było, jak rzekłem, pożądaniem miłości, ale jakimś innym, głębszem; które, nie wspierając się na zmysłach, na płci, wieku, powierzchowności, płynęło z głębi tego wszystkiego przez co się jest sobą, i czego nie można stracić, chyba przestając istnieć.

Czem się stało, iż to szacowne przesilenie nie zdobyło nam szczęścia na resztę dni? Nie przezemnie, mogę sobie oddać to pocieszające świadectwo. Nie przez nią, przynajmniej nie z jej woli. Było snąc napisane, iż niebawem wszechmocna natura odzyska swą władzę. Ale fatalny ten powrót nie przyszedł odrazu. Był, dzięki niebu, czas przerwy. Krótkie i cenne chwile: skończyły się nie z mojej winy, i nie wyrzucam sobie abym z nich źle skorzystał!

Mimo iż uleczoney z ciężkiej choroby, nie odzyskałem dawnych sił. Piersi nie wygoiły się jeszcze; resztką gorączki utrzymywała się ciągle i była źródłem długiej niemocy. Nie miałem chęci do niczego; jedynem mem marzeniem było dokończyć dni przy tej która mi była drogą, utrwalić ją w dobrych postanowieniach, wskazać jej

na czem polega prawdziwy urok szczęśliwego życia i sprawić, o ile to zależało odemnie, aby jej życie było właśnie takim. Ale widziałem, czułem wprost, że w smutnym i ponurym domu owo nieustanne nasze sam-na-sam stanie się wkońcu również smutne. Lekarstwo nastręczyło się samo z siebie. Mamusia przepisała mi mleko i chciała bym odbył tę kurację na wsi. Przystałem, pod warunkiem, że ona zamieszka ze mną. Nie trzeba jej było długo namawiać; jedyłą kwestję stanowił wybór miejsca. Nasz podmiejski ogródek to nie była właściwie wieś; otoczony domami i innymi ogrodami, nie miał uroków wiejskiego ustronia. Zresztą, po śmierci Aneta, pozbyliśmy się tego ogrodu, nie mając już interesu w hodowli roślin i zaprzętnięci innymi projektami.

Korzystając teraz z odrazy, jaką mamusia miała do miasta, podsunąłem jej myśl, aby je zupełnie opuścić i osiedlić się w jakiejś milej ustroni, w małym domku dość odległym aby odstraszyć natrętów. Byłaby się zgodziła; to postanowienie, którem nasz dobry anioł mnie natchnął, byłoby nam prawdopodobnie zapewniło szczęśliwe i spokojne dni, aż do chwili w której śmierć miała nas rozdzielić. Ale snąc inne losy były nam przeznaczone! Mamusia miała poznać wszystkie zgryzoty nędzy i niedoli, po życiu spędzonym w dostatku, aby je opuścić z mniejszym żalem; ja zaś, przez nagromadzenie nieszczęść wszelakiego rodzaju, miałem kiedyś być przykładem dla każdego, kto, ożywiony jeno miłością dobra publicznego i sprawiedliwości, ośmiela się, dufny w swą niewinność, mówić otwarcie prawdę, nie licząc się z intrygą i nie zabiegając się o stworzenie partji dla własnej obrony.

Nieszczęśliwa obawa wstrzymała ją. Nie śmiała porzucić swego szpetnego domostwa z obawy gniewu właściciela. „Twój projekt jest uroczy, rzekła, i bardzo mi trafia do serca; ale i w owej ustroni trzeba żyć. Opuszczając moje więzienie, lękam się utracić chleb; a kiedy zbraknie go nam w lasach, i tak będziemy musieli wracać po niego do miasta. Aby uprzędzić tę potrzebę, lepiej nie opuszczajmy go całkowicie. Płaćmy tę małą pensyjkę hrabiemu, aby

wzajem zostawił mi moją. Poszukajmy jakiegoś schronienia, dość daleko od miasta aby tam żyć spokojnie, a dość blisko aby wrócić za każdym razem gdy będzie trzeba“. Tak się stało. Po niedługich poszukiwaniach, osiedliliśmy się w Charmettes, majątku pana de Conzié, położonym tuż u bram Chambéri, ale tak cichym i samotnym, jakby się było o sto mil. Między dwoma dość wysokimi wzgórzami leży dolinka, którą, wśród drzew i kamieni, płynie rzeczka. Wzdłuż tej doliny, w połowie wzgórza, jest parę rozrzuconych domków, bardzo mile położonych dla kogoś kto lubi dzikie nieco i ustronne mieszkanie. Przepatrzywszy parę z tych domostw, wybraliśmy wreszcie najładniejsze, własność pewnego szlachcica służącego w wojsku, nazwiskiem Noiret. Dom był bardzo wygodny. Na froncie ogród i terasa, wyżej winnica, niżej sad; naprzeciw mały laszek kasztanowy, źródło opodal; powyżej, na wzgórzu, łąki dla bydła; słowem, wszystko co trzeba dla małego wiejskiego gospodarstwa, które chcieliśmy założyć. O ile mogę sobie przypomnieć czas i daty, objęliśmy je w posiadanie pod koniec lata, roku 1736. Byłem upojony pierwszego dnia, gdy sprowadziliśmy się tam na nocleg. „O mamusiu! rzekłem drogiej przyjaciółce, ściskając ją i oblewając łzami rozczulenia i radości, oto miejsce niewinności i słodyczy. Jeśli tu nie znajdziemy ich we dwoje, nie mamy co szukać ich więcej“.